№ 44 Warszawa, dnia 18 (30) Października roku 1880.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

Treść Numeru: Kwestya żydowska — Sprawa graniczna (wiersz). — Pani Podkanclerzyna. — Dwie Ofelie. — Z kraju i z zagranicy.

W dodatku: Ze wspomnień sieroty, przez T. Maryat (przekład z angielskiego).

Kwestya żydowska.

Jedną z najważniejszych dla nas kwestyi, jest bezwątpienia tak zwana kwestya żydowska, o której przecież jeźli się najwięcej mówi i rozprawia w kółkach prywatnych, za to najmniej się pisze i publicznie wyjawia swoje zdanie.

Dlaczego?

Jeden tylko p. Jeleński, zdobywszy się na odwagę cywilną, otwarcie wypowiedział swoje myśli w znanem dziele „Żydzi, Niemcy i My;" dotknął się także tego przedmiotu p. Cz. w swojej broszurce, gdzie wykazał zalety i wady Semickiego plemienia w ogóle, a u nas tak rozmnożonego, w szczególe, do żadnych przecież pozytywnych wniosków nie przyszedł; z licznych zaś pism peryodycznych naszych, illustrowanych, naukowych i politycznych, niektóre tylko, jakby dla okazania swojej niezależności, od czasu do czasu i to bardzo oględnie, wspominają o zbytniem nagromadzeniu się żydów w kraju naszym o szkodliwym ich wpływie na handel miasteczek, na moralność ludu i t. p.

Dlaczego?

Publicyści nasi, a mamy ich dosyć, zbywają rzecz całą krótką odpowiedzią:

U nas nie ma kwestyi żydowskiej, albo też:

Jest wprawdzie u nas kwestya żydowska, ale tak trudna do rozwiązania, iż lepiej nie tykać jej.

I jedni i drudzy panowie mają swoje racye, ale niezupełnie uzasadnione, postaramy się to wykazać w kilku słowach, nie roszcząc pretensyi, aby zdanie nasze było niemylne, bo nie pora do wszechstronnych, wyczerpujących, a co najważniejsza, praktycznych wywodów.

Aby utrzymywać, że u nas wcale nie ma kwestyi żydowskiej, trzeba być co najmniej naiwnym optymistą, jeźli nie z umysłu człowiekiem stronnym, a nawet złej woli. Prawda, pod względem wyznaniowym, kwestya ta oddawna rozwiązana, gdyż żydzi cieszą się u nas tolerancyą taką samą, jak wszystkie inne wyznania krajowe, lecz zupełnie rzecz ma się inaczej pod względem ekonomicznym, chyba że nagromadzone kapitały prawie wyłącznie w rękach żydowskich są złudzeniem, że lichwa pod różnemi, bardzo przyzwoitemi nazwami, pod którą jęczy biedniejsza ludność wiosek naszych, miast i miasteczek, jest tylko czczą gadaniną, że handel wreszcie stał się monopolem w rękach semickiego plemienia jest fałszem oczywistym. Wszystko to jest złudzenie, gadanina, oszczerstwo, wszak i chrześcianie mają kapitały, trudnią się lichwą i dobre robią handlowe interesa.

Tak jest w istocie, ale w jakim stosunku do ludności żydowskiej? Pomijamy wreszcie ten argument, gdyż w każdem społeczeństwie pewne jego jednostki, a nawet całe rody, stosownie do swojego uzdolnienia i nabytego doświadczenia zajmują się jakąś wyłączną pracą ekonomiczną, niechby więc i żydzi, jak za dawnych u nas czasów, chociaż przy zupełnie innym ustroju wewnętrznym, zajmowali się handlem, wekslarstwem i tym podobnymi interesami, jak to wreszcie praktykuje się dotąd i w innych krajach, lecz niech nie stanowią państwa w państwie, bo doświadczenie zaczerpnięte z dawnej i współczesnej historyi przekonywa, jakie ztąd wynika niebezpieczeństwo, gdy jedna warstwa społeczna żyje kosztem drugiej i z jej widocznym uszczerbkiem rozwija się i potężnieje. Otóż usunięcie tej społecznej anomalii stanowi kwestyą, którą się zajmujemy. Negowanie jej bytu jest po prostu niedorzecznością, jest zaprzeczeniem faktów bijących w oczy ludzi najmniej przyzwyczajonych i umiejących zastanawiać się nad własnem położeniem. To też zwraca ona uwagę również i tych z semitów, którzy pracą swoją uczciwą i intelligencyą i udowodnioną miłością kraju ojczystego stali się prawowitemi obywatelami naszej ziemi. Ci zanadto są rozumni i szlachetni, aby ich zaślepić miała do tego stopnia naturalna sympatya do swoich współ-wyznawców, iżby jasno widzieć nie mieli niebezpieczeństwa zagrażającego polskiej społeczności ze strony zamkniętego w sobie i siebie tylko mającego na celu sfanatyzowanego miejscowego judaizmu. Ci Polacy mojżeszowego wyznania nie mówią, że nie ma kwestyi żydowskiej, owszem, przyznają, że jest i to jedną z najbardziej naglących, gdyż wszelka tu zwłoka, wszelkie *jakoś to będzie*, zwiększa niebezpieczeństwo wspólne.

Jeźli więc istnieje kwestya żydowska, czemu z taką niechęcią przystępują nasi publicyści, już nie do jej rozwiązania, bo takowe od nich niezależne, ale do jej rozjaśnienia i zapobieżenia dalszym komplikacyom? O złą wolę lub prywatę nikogo posądzać nie chcemy. O strusiach, utrzymują naturaliści, iż w razie grożącego im niebezpieczeństwa chowają głowę, sądząc, iż tym sposobem już go uniknęły; czyliż i my naśladując go, mamy zamknąć oczy, opuścić ręce i zostawić wszystkiemu bieg naturalny, czekając bezmyślnie aż cud jakiś, lub niespodziewany kataklizm historyczny zmieni stan rzeczy bez przyłożenia się naszego.

Wtedy może być zapóźno.

Trudno zaprzeczyć, iż bezstronne, sprawiedliwe, zgodne z duchem dzisiejszych czasów rozświetlenie kwestyi, o której mówimy, wymaga wielkiego taktu, poglądów szerokich, żadną niezaciśniętych wyłącznością, ani religijną, ani kastową ani polityczną. Jedynie *salus publica* winno tu być myślą przewodnią.

Chcąc skutecznie przyczynić się do zreformowania żydów w Polsce i zmienienia ich w pożytecznych obywateli kraju, należałoby:

1-o Oznaczyć ściśle położenie żydów dawniejsze

i obecne, tak u nas, jak w innych europejskic h krajach.

2-o Wykazać, jaki wpływ wywarli żydzi na społeczeństwa w których skład weszli i nawzajem jakim sami ulegli wpływom i jakie warunki społeczno prawne wyrobiły w nich, te a nie inne ich przymioty i wady.

3-o Zbadawszy krytycznie dodatnie i ujemne strony żydów polskich wskazać środki, któreby posłużyły do zwiększenia pierwszych, a zmniejszenia drugich

4 o Mając na względzie głównym dobro ogółu oznaczyć warunki przy spełnieniu których możliwą by się okazała reforma wewnętrznego ustroju żydów, którzy... zapamiętajmy to dobrze, tem szkodliwiej oddziaływają na ekonomiczne stosunki kraju, im sami są nieszczęśliwsi i biedniejsi. Mamy tu na myśli ogrom proletaryatu żydowskiego z każdym dniem zwiększającego się.

Każdy o tem wie dobrze, iż ani dziennikarski artykuł, ani bezstronnie napisana broszura, ani dzieło nawet, choćby najuczeńsze, nie naprawią złego, na które wieki się składały, lecz przyczynić się mogą znakomicie do stopniowej zmiany złego na dobre.

Podjazdowe docinki do niczego nie prowadzą, jątrzą tylko niepotrzebnie jedną i drugą stronę, chociaż zwykle bogaty spekulant rozśmieje się ironicznie, a co do ogłupiałych sfanatyzowanych mass te nic nie czytając, zajmują się jedynie talmudem i swojemi geszeftami.

Według naszego zdania, koniecznych, naglących reform wewnętrznego ustroju żydów w Polsce, dokonać mogą jedynie sami żydzi. Interwencya państwowa, jak dotąd, wszędzie ujemne tylko wydała rezultaty. Intelligentni, a co większa prawego charakteru Polacy wyznania mojżeszowego mogą i powinni zająć się szczerze tą reformą. Ciężkie-to i trudne zadanie, lecz przy dobrej i energicznej woli a przy współdziałaniu ludzi kraj kochających, bardzo możliwe, bo o cóż tu idzie ostatecznie? Oto aby żydzi w Polsce stali się tem, czem są we Francyi lub Anglii, to jest zacnemi i pożytecznemi obywatelami, którzy nie przestawszy być żydami są dobremi Francuzami lub Anglikami.

SPRAWA GRANICZNA.

GAWĘDA

przez

Ludwika Niemojowskiego.

(Wyjątek z większej całości).

Znasz-li ziemię co od lat
Rodzi piękny zboża zbiór,
A choć nie ma na niej gór,
Ni przepaści czarnych łóż,
Ni błyszczących falą mórz,
Przecz w niej dziwnie piękny świat?
To mazowsza żyzny kraj:
Tamci światłem każdy cień.
Tamci szczęściem każdy dzień,
Boć u swoich zawdzy raj!
Tam więc stały wioski dwie,
Białe, jasne, jako śnieg,
A od wschodu Wisły brzeg,
Wznosił zdala krańce swe.
W każdej wiosce bielił dwór,
I kościołek schludny wzwyż,
I nad drogą czarny krzyż,
I przy sadzie długi mur.
Każda wioska istny cud,
Był ci niby mały świat,
Niby wdzięczny pszczółek ul:
A w niej dziedzic zasię król,
A w niej kmiotki wierny lud.
Lecz w tych wioskach co od lat,
Jak siostrzyczki stały dwie,
Było siła sromych zwad,
Siła złości, siła pych,
Boć to iście był w nich świat,
Przedsię w świecie zawżdy grzech.
Z dawien dawna któryś pan,
Pono po kądzieli dziad
Jednego z dziedziców dwóch,
O odłogu marny łan,
(Snadź podszepnął sprosny duch)
Jął się matactw, pism i zwad,
A w pieniactwo jak się wdał,
Wnet z pokoju urósł szał.
Nuż jak z worka lecą wnet,
Skrypta, pozwy — bies ich zna!
Tak że zgodne dwory dwa
Były jeno zdrojem bied.
Minął ci tak cały wiek,
Ojciec synom zdawał spór,
A że wżdy uporny człek,
Każdy przy swem stał jak mur,
I wodzili się tak wciąż,
Gdzie palestra, sąd a gród,
A choć czasem przyparł głód,
Każdy pisał się jak wąż;
Tak że w wioskach co od lat,
Jak siostrzyczki stały dwie,
Wznosząc k'sobie mury swe,
Było siła sromych zwad.

W jednej ano z wiosek dwóch,
W białym dworcu po za stołem,
Siadła para mężów społem,
A każdy już z rodu zuch.
Jeden czerstwy pełen sił,
W gębie dworno, grosz w kalecie,
Snadź bywalec w cudzym świecie,
Panem onej wioski był;
Drugi wzrostem istny dąb,
Choć mu bielił włos na skroni,
Gdy demeszka brzękła w dłoni,
Ani pytaj — tylko rąb!
Toż rezydent pański był,
Zbiegł z rotmistrzem siłę świata,
A gdy stare przyszły lata,
Rad o dawnych czasach śnił;
A bywało z młodych lat,
Gdy w gawędzie się rozszerzył,
To się zsierdził a zaperzył,
I klął na czem stoi świat,
A gdy rotmistrz przeczyć jął,
By misternie szukać zwady,
To już z starym ani rady,
Tak się zgniewał, tak się zklął!

Lecz się oba miłowali,
Więc po zwadzie na stół dzban,
Kufel jeden, drugi, trzeci:
„Do waszmości!“ „Do waszeci!“
Hejże w śmiechy, hejże w tan,
„Gorą nasza! bijmy Szweda!“
Nuż sierdziście kręcić wąs,
I oba się uściskali,
A zgwarzyli a spłakali,
Że aż stary dwór się trząsł.

Byłci raz jesienny dzień,
Wilgny jak grobowa pleśń,
Czarny jak pomroku cień,
Smutny jak żałosna pieśń.
A z posępnych niebios chmur,
Co świat skryły swoim cieniem,
Deszcz wytoczył się strumieniem,
I wciąż szumiąc płynął z gór;
Błysk za błyskiem w górze lśnił,
Mruczał w niebie głos ponury,
Potok wody płynął z góry
I o szyby komnat bił.

A w komnacie za stolikiem,
Siedział rotmistrz z porucznikiem,
Karty w dłonie i nuż w grę,
I tak pośród szumu fali,
W maryasza sobie grali
Snadź by zabić nudy swe;
A zaś grali po dawnemu,
Bernardyńskim obyczajem,
O zdrowaśki. Święta gra:
Wżdy gdy przegrasz, to wesele,
Przegrasz, nie straciłeś wiele,
Bo kęs zyszcze dusza twa.
A w grze onej sempla mała
Jedno *Pater* oznaczała,
Za spokój czyśćcowych dusz,
Kto zaś dublą pokpił sprawę,
Musiał trzepać *Pater*, *Ave*,
Musiał trzepać, ani rusz!

Tak ci grali. Rotmistrz siła
Wygrał sempli, dubli wraz:
Wciąż mu karta się szczęściła,
Wciąż szedł panfil, kralka, as,
Stary wiarus zły jak czart,
Klął pod wąsem, w ziemię pluł,
I coś mruczał do swych kart,
I uderzał pięścią w stół;
Boć mu było pono wstyd,
Że gdy trzepie wciąż pacierze,
Rotmistrz śmieje się a szczerze,
Z jego trosków z jego bied.

A zacz fracha krotochwila,
Wszakci trefność to nie grzech,
Jedno w świecie trosków tyla,
Że wżdy w zdrowie idzie śmiech.
I choć rotmistrz wciąż się śmiał,
Mrucząc *Pater* trzepiąc *Ave*,
Byłby winem zapił sprawę,
A oskomę na nie miał;
Ano tak się umówili,
W krotochfilnej widno chwili,
Że kto wygra temu pić,
Kto zaś przegra—siedzieć ino,
A oczami głaskać wino,
A myślami rozkosz śnić.

Rotmistrz rzeknie: — Waszmość zgran,
No, *ad Deum*, tylko żwawo,
Ja pogłaskam jeszcze dzban,

Stary ukląkł już za ławą,
Charknął, splunął, utarł nos,
I marmota w cichy głos:
Pater noster...

A w tem grom,
Warknie nagle w głos ponury,
I popłynie z chmurą w chmury
Aż się stary wstrząśnie dom.
Błysk za błyskiem w górze ślni,
Niebo ogniem się czerwieni,

I zaskrzypną drzwi od sieni,
I coś stanie w pośród drzwi;
Buchnie zimny wiatru prąd,
I zakręci żar w kominie,
I wraz z dymem się rozpłynie
Wrzkomo piekła dziwny swąd.
—A słowo się! krzykną wraz,
Jakby piorun w izbę trzasł,
I powstaną ze swych ław.
Każdy w górę wzniesie dłoń,
Znakiem krzyża święci skroń,
Snadź by bronił od złych spraw.

Alić patrzą: bies wcielony
Bez ogona, nie rogaty,
Lecz czupurny a wąsaty,
Nuż się szastać, nuż w układy,
W krygi, dygi, zwroty, pląsy,
Kręci czapką, ima wąsy:
Snadź wśród onej alternaty,
Nie stało mu w gębie słów,
Ni baczenia w głowie...

—Uf!..
Szepnie rotmistrz takim tchem,
Żeby pono w tchnieniu tem,
Wietrzny młyn jął mąkę mleć,
I brew zmarszczy.—A to waść!
Przecz tu obcesowo wpaść
Z trzaskiem, wrzaskiem w izbę buch!
Niby jaki sprosny duch?
Podstarości znów w ukłony
(Bo to podstarości był):
—Jaśnie panie, człek nie śnił
By znieważyć...

—Precz androny,
Na co, po co, gadać mi!

—Jaśnie panie, z nami źle!

Rotmistrz porwie się z za stoła;
—Cóż u licha, gore gdzie,
Czy zwaliła się stodoła,
Czy plondruje we wsi Szwed?...

—Byłoć by to siła bied,
Ale gorzej...

—Jeszcze gorzej!
Do stu katów gadaj waść,
Niech raz padnie co ma paść.

—Jaśnie panie, świetne gniazdo
Antenatów jegomości,
Było wrzkomo oną gwiazdą,
Co wżdy świeci wśród ciemności;
Wasza miłość idąc torem
Który ojce przekazały,
Nowym okrył się splendorem,
Boś zadzierżył splendor chwały.
Jaśnie panie rzecz nie łacno
Tę fortunę dziwnie zacną,
Ten kęs ziemi co z pradziada
Ród wasz w estymie posiada,
Znieważono, rozszarpano,
Pogwałcono, podeptano,
I to mówiąc stary lis,
Kuternoga, łys a zys,
Dłonią zasię kryje oczy,
Trąc łzę niby co się toczy
Wrzkomo z wielkiej tęskliwości
A frasunku a miłości,
Przedsię łzy tam ani śladu...

Rotmistrz krzyknie:—Gadu, gadu,
Przecz językiem wasze miele,
Kto znieważył, jest ci miecz!
Podstarości jęknie—cielę!

Gdyby piorun w izbę trzasł,
Gdyby w ogniu stanął dom,
Toby rotmistrz tak nie wrzasł,
Jak zawrzasnął nagle:—Precz!
Wstydź się asan, a to srom,
Z tak nalanym przyjść tu łbem!
Do stu katów, spać i kwita,
A gdy we łbie już prześwita,
Ja zawołam i ad rem,
Szepnę w ucho parę słów!

—Jaśnie panie, jamci zdrów,
Nie wnurzyłem w dzban pamięci,
Ni kęs we łbie mi nie czmera,
A zaś pono coś tu święci,
A święci się nie kozera,
Boć to cielę tak osobne,
Rosłe, spasłe a nadobne,
Z łatką na łbie...

Spojrzą gracze,
I zaszepczą k'sobie ścicha:
—Źle mój mości, źle u licha,
Snadź mu we łbie bies kołacze,
Zasię w oczach coś niepięknie...

—Dobrodzieju! z płaczem jęknie
Podstarości wznosząc ręce:
Niech zmarnieję w srogiej męce,
Niechaj żonę, dzieci stracę,
Niechaj nawet... grzywny płacę,
Jeślim skrewił. Rzekę śmiele,
Ot na łące po za siołem,
Gnał pastuszek bydło społem,
A zaś cielę—jakto cielę,
Nuże w harce sobie gwoli,
I wyszustło gdzieś daleko,
Za kopcami w cudzej roli,
Przy figurze, po nad rzeką,
Siłać biedy miły Boże!
By ztąd rosły niepokoje,
Azaż chudziątko znać może,
Co wżdy moje a co twoje?
Jak tu czynić w oną dobę,
Zbiegła się ćma oberwańców,
Rozbójników a pohańców,
I zgrabiła nam chudobę!
I zgrabiła, rozkopała,
Zniweczyła, podeptała!
A to mówiąc stary lis,
Znów swe pięście w oczy wcisł,
Łeb kudłaty zwiesił w dół,
I wargami wąsy żuł.

—Tfy do licha! i śmiesz waść,
Takie bzdurstwa w łeb mi kłaść?
Zapłać, odbierz, toć i kwita!...

—Tynfa chcieli...

A kto pyta
Choćby grzywnę, to ją płać!
Zasię mnie i na to stać...

Podstarości ścicha jęknie;
—Tynf czy grzywna—jedno tyla
Że Wojskiemu w mieszku brzęknie;
Zasie widzę starowinę,
Jak w kaletę tka grosiwo
Akceptacya—jako żywo!..

—Co, Wojskiemu, co waść plecie?
Krzykną oba...

—Jasno przecie:
W kontrowersie je schwytali!

Spojrzą na się: była chwila,
Taka głucha, taka cicha,
Jakby jakie sprosne licha,
Wszystkim mowę zagmatwali,
Jedno w strasznej tej godzinie,
To wiatr znieci drzwi w komorze,
To zaszumi deszcz na dworze,
To zatrzeszczy żar w kominie,
Wreszcie krzykną:—Hej! pachołki,
Siodłać konie!... Poskocz waści:
Pomacamy tej pustotki,
Damy mores od napaści!

(d. n.)

PANI PODKANCLERZYNA.

opowiadanie historyczne

z czasów panowania Jana Kazimierza.

przez

Michała Jezierskiego.

(Dalszy ciąg).

Gospodarz swój dom opuszcza.

Gdy Radziejowski wrócił do siebie, gniew, zazdrość, niepochamowana chęć zemsty, na przemian szarpały jego serce. Czuł że ta rozmowa z królem była ostatecznem zerwaniem, lecz nie żałował swego postępku. Rzucił królowi prawdę w oczy i słowem go upokorzył; pod wpływem namiętności nie patrząc na następstwa, kontent był z siebie, i dalej działać postanowił. Zamyślał utraconą władzę w swym domu w żelazne wziąć dłonie, pozbyć się nieprzyjemnych i nieprzyjaznych gości i żonę nagiąć do winnego mu posłuszeństwa. Taki ułożywszy sobie plan dalszego postępowania, z niecierpliwością wyczekiwał tylko przyjaznej chwili. Od kilku dni podkanclerzy nie pokazywał się w domu jak tylko w czasie obiadu, uznał że i teraz będzie to najstosowniejsza pora, aby przy wszystkich razem zgromadzonych oświadczyć swe postanowienie i zmusić do uszanowania swej woli. Jakoż o zwykłej godzinie wszyscy zasiedli do stołu.

Pan podskarbi przy obiedzie zawsze bywał wesoły, opowiadał różne myśliwskie wydarzenia i na świadectwo zawsze się odnosił do swej szlachty, która potwierdzała wszystkie jego niedorzeczne kłamstwa. Pani Radziejowska śmiała się z różnych konceptów brata, wszyscy byli w najlepszem usposobieniu, gdyż węgrzyn podniecał wesołość. Jeden podkanclerzy siedział milczący i zadumany, jadł mało, nic nie pił, tylko ciągle wąsa podkręcał, co było u niego oznaką wielkiego nieukontentowania. Spostrzegłszy to podskarbi zapytał:

— Cóż panie podkanclerzy, czy nie zwiastujesz nam czasem jakiego nowego nieboszczyka, gdyż siedzisz zachmurzony jakby na jakiej stypie.

— Czegoż mam się weselić? Głupstwa jakie prawicie nie bawią mnie wcale.

— Posłuchaj więc panie podkanclerzy jedną dykteryjkę, która cię może rozweselić:

— Był pewien król potężny, miał się za bardzo rozumnego, a wszystkich uważał za głupców, z czem się oni tylko odezwali, mówił że głupie; nudził się więc w swoim pałacu. Naprożno starano się go rozweselić, on zawsze był nieukontentowany, zachmurzony i nudny, ale to nudny jak lukrecya. Sprowadzono nawet doktorów, myśląc że to taka choroba, ci kazali zimną wodę przykładać mu do głowy i pić stare wino, ale woda i wino żadnego skutku nie zrobiły, a więc dworscy zmówiwszy się z doktorami uradzili ogolić mu głowę i odesłać do domu waryatów.

Usłyszawszy tę dykteryjkę, szlachta głośno śmiać się poczęła, unosząc się nad dowcipem podskarbiego.

— I ja sądzę że ów król był waryatem, odrzekł Radziejowski, bo gdybym ja był na jego miejscu, rozpędziłbym wszystką tę hołotę co się koło niego kręciła.

— Jeśliby się ona dała wypędzić! wrzasnęła szlachta.

— Panie podskarbi, powstrzymaj języki twoich służalców, bo mi już dłużej cierpliwości nie stanie.

— Głos szlachty jest wolny, panie podkanclerzy.

— Ale ja tych zwad i krzyków nie ścierpię w moim domu.

— Niegościnność pana podkanclerzego przywiedzie nas do niegrzeczności, krzyknęła szlachta.

— Milczéć hołoto! gromko zawołał Radziejowski.

Szlachta zerwała się od stołu i zbliżywszy się do podkanclerzego wołała.

— Albo niech zaraz przeprosi! huczała szlachta, albo wszystkim musi dać satysfakcyą!

— Satysfakcya dla was nie w ostrzu szabli, lecz na końcu kija! Panie podskarbi, uśmierz swych zauszników.

— Oni mają słuszność, odpowiedział Służka.

— A więc kiedy tak, to ja sam dam im radę. Mości panowie precz z mego domu!

— Pozwolisz panie podkanclerzy, bym się ujął za moją młodszą bracią, obraziłeś ich, więc przeprosić należy.

— Trzymasz z tymi łotrami, więc jesteś moim wrogiem, spodziewam się że w tym charakterze nie zechcesz dłużej przebywać w mym domu.

— Zdaję mi się, odparł Służka, że nie jestem w domu jego, ale w domu mej siostry, więc jeśli ona mi to powtórzy, ustąpię, kaprysy zaś i rozkazy pana podkanclerzego dla mnie nic nie znaczą.

Pani Radziejowska rzuciła się na szyję brata wołając:

— Bracie! ty mię nie opuszczaj!

— Bądź spokojna, rzekł Służka, potrafię cię zasłonić od ucisków tego tyrana. Król, dom cały, twoi dworzanie i moja poczciwa szlachta, wszyscy staniemy w twojej obronie.

— Precz mi ztąd trutnie! krzyknął Radziejowski, wleźliście do cudzego ula, wydzierać miód i chcecie wypędzać pszczoły, ale ja mam ostre żądło a trutnie są trutniami. Pani podkanclerzyna niech raczy iść do swej komnaty, a panowie fora z dwora!

— Bracie ratuj mnie! krzyknęła Radziejowska i znów zawisła na szyi brata.

Szlachta rzuciła się do szabel wołając:

— Krew naszą oddamy za cześć pani podkanclerzyny i pana podskarbiego.

Służka rzekł obejmując siostrę ramieniem:

— Od dziś siostro jesteś pod moją opieką. Włos ci z głowy nie spadnie, nie trwóż się tygrysiego wzroku męża, ja dzikie zwierzęta poskramiać umiem.

I zwróciwszy się do Radziejowskiego, dodał:

— Radzę panu podkanclerzemu wynieść się ztąd póki czas, widzisz jak szlachta rozdrażniona, rejterada w porę, to połowa zwycięztwa.

— Nie ścierpię takiej zniewagi w moim własnym domu, wnet dam wam uczuć moją prawicę, obaczym kto silniejszy! Rozpędzę was na cztery wiatry, a jejmość poczuje mężowską władzę!

I silnie trzasnąwszy drzwiami wyszedł z sali.

Przyszedłszy do swej komnaty upadł na krzesło, trząsł się ze złości, oczy mu krwią nabiegły; miał nieproszonych gości rozpędzić a sam z placu ustąpić musiał. Upokorzony w oczach sług swoich chciał zburzyć pałac, twarde czerepy i opasłe brzuchy szlachty, uwięzić podskarbiego i żonę. Te myśli plątały mu się po głowie.

Rozkazał przywołać do siebie marszałka dworu a gdy ten wszedł, zapytał:

— Ilu mamy zbrojnych dworzan?

— Jest ich kupa j. w. panie.

— Zebrać mi wszystko na dziedziniec pałacowy.

— Rozkaz j. w. pana nie da się wykonać, gdyż j. w. pani zaleciła aby cała zbrojna załoga była posłuszną tylko panu podskarbiemu. Oni tylko jego słuchają.

— Niechże was wszystkich piekło pochłonie! krzyknął Radziejowski. Wyjeżdżam natychmiast, jednak wrócę niebawem, i zobaczycie jak się z wami rozprawię! Wszyscy zasłużyliście na karę, nikt nie dostąpi miłosierdzia.

I pan podkanclerzy nie dalej jak w pół godziny, opuścił już pałac swej żony z jednym tylko wiernym mu starym sługą.

Gdy o tem dowiedziała się podkanclerzyna, podskarbi i szlachta, wszyscy upojeni zostali radością z odniesionego zwycięztwa. Jedni krzyczeli: uciekł z placu, drudzy: stchórzył!

Pani podkanclerzyna mówiła jednak:

— Znam ja męża, on gotów zrobić napad na dom nasz, uraz nie zapomina i nigdy nie przebacza, mściwy jego charakter sprowadzi jakąś straszną burzę.

— Będziemy się mieć na baczności, rzekł Służka, nie tak to łatwo podejść Litwinów, niedźwiedź wyparty ze swego barłogu, już nigdy do niego nie wróci.

Wszystko się zmieniło w pałacu Radziejowskich. Podskarbi spraszał gości najwięcej Litwinów przybywających do Warszawy i uczty wyprawiał. Pijatyki były codzienne, gwar, nieład, i rozpusta, zastąpiły porządek i powagę dworów polskich. Pani Radziejowska uszczęśliwiona pozbyciem się męża, biegała po mieście opowiadając wszystkim jak mąż ją opuścił i że wkrótce musi rozpocząć sprawę rozwodową.

Król znienawidziwszy Radziejowskiego od ostatniej rozmowy, cieszył się iż może na długo już się go pozbył. Młodzież dworska widząc młodą, piękną i bogatą kobietę, prawie już rozwódkę, przedwcześnie tworzyła różne plany, w każdym sercu rodziły się nadzieje, wszyscy więc zaczęli nadskakiwać, wyprzedzać się w grzecznościach i umizgach, aby pozyskać względy pani podkanclerzyny.

Była więc ona w swoim żywiole, przyjmowała hołdy od wszystkich i zalotnością każdego trzymała na uwięzi. Przed królem rozwodziła skargi na męża i jeśli nie wskrzesiła w jego sercu dawnej młodzieńczej miłości, to przynajmniej zdołała obudzić uczucie litości i czułej sympatyi dla opuszczonej, prześladowanej kobiety. Król przyrzekł jej swą opiekę i obronę od wszelkiej ze strony męża napaści. Pan insygator Żółtkiewicz pochwalił dobrze ukartowaną intrygę w pozbyciu się podkanclerzego, ale radził mieć się na baczności, gdyż Radziejowski nie zapomni doznanej zniewagi i jakąś nieprzywidzianą zemstą odpłaci upokorzenie. Młody Tyzenhauz uszczęśliwiony był z wyjazdu podkanclerzego, mógł znowu uczęszczać do pałacu Radziejowskich. Stanowisko jakie zajmował przy królu nadawało mu więcej śmiałości, przybywał już nie jako dawniejszy dworzanin, lecz jako ulubieniec królewski, jako gość, jako krewny pani podkanclerzyny.

Przyjaźń najściślejsza łączyła go zawsze z panną Martą Hirszówną, stawała mu się coraz potrzebniejszą, i czy to skutkiem nałogu, czy też innego uczucia które nazwać nie umiał, z dniem każdym bardziej się do niej przywiązywał. Ile razy był w pałacu, zawsze wstępował do skromnej komnaty panny Hirszówny. Opowiadał jej o łaskawości króla dla siebie, o nadziei otrzymania w przyszłości wyższej krescytywy, a wówczas, gdy stanowisko jego zrówna się ze stanowiskiem podkanclerzyny, o możebnem osiągnięciu szczęścia od tylu lat w duszy marzonego. Na to panna Marta raz mu odpowiedziała:

— Przypuśćmy że wszystkie wasze nadzieje zostaną ziszczone, cóż będzie dalej? Wasza duma zostanie nasyconą, próżność zadowolnioną, ale rzeczywistością człek prędko się przesyca, przywyka do stanu którego niegdyś tak usilnie pragnął, marzenia pychy słabną i w końcu zatrzéć się muszą. Cóż pozostanie wówczas?

— Co pozostanie panno Marto? Pozostanie serce które posiadać będę.

— Mój przyjacielu, czyż dotąd nie wiesz że podkanclerzyna nie ma serca?

— Na czem to zdanie opierasz, panno Marto?

— Całe jej życie mnie o tem upewnia, odpowiedziała Hirszówna, a że zupełnie podobni jesteście do siebie, w połączeniu waszem szczęścia być nie może. I ona tak jak wy, pychą, próżnością i dumą zapełniła swe życie; te wady serca głuszą najzacniejsze uczucia, dla nich poświęca się wszystko spokój i szczęście drugich a nawet i własne. Chcąc zaś kochać prawdziwie trzeba nie mieć tych wielkich ułomności ducha, trzeba ze wszystkich wad tych oczyścić swe serce, trzeba je napełnić zacnością i świętością; w tak oczyszczonem sercu dopiero może się rozżarzyć miłość prawdziwa, która nas wiedzie do szczęścia, do poświęcenia.

— Ależ moja panno Marto, czy sądzisz że dla niej nie mam miłości?

— Nie, odrzekła Hirszówna, to nie miłość, to namiętność, to próżność tylko.

Tyzenhauz po tych słowach zamyślił się i rzekł:

— Zawsze to szczęście dla mnie żeście się pozbyli podkanclerzego; najprzód nie mam przed oczyma tego potwora, powtóre mogę panią Radziejowską i was odwiedzać swobodnie.

— Wiecie że nie lubiłam pana podkanclerzego, jednak dziś żałuję że on dom opuścił. Był to pan dumny, surowy, ale posiadał zasady tradycyjnej pańskiej zacności. Zazdrość wyradzała podejrzenia, kochał żonę, i nie mogąc stłumić zazdrości, popełniał niesprawiedliwe i gwałtowne postępki, oczy jego widziały jasno, prędko dostrzegł wasze uczucie dla żony i wygnał was. To szczęście że was nie zabił na miejscu.

— O! ja się pomszczę mojej zniewagi! wykrzyknął Tyzenhauz, ale nie widzę powodów dlaczego macie się smucić z jego niebytności.

— Bo na miejscu Radziejowskiego mamy innego pana, pana podskarbiego Służkę, a nie jest to pan tylko istny niedźwiedź litewski; któremu się zdaje że wszystkich zwalczy bo ma olbrzymią siłę. Nieokrzesany, zuchwały, sądzi że nikt jego woli oprzéć

się nie poważy. Do takiego posunął się grubiaństwa, iż ciągle mnie napastuje i śmie namawiać abym na Litwę z nim jechała; muszę bronić się jak od napastnika, lecz wam się przyznam że w ciągłej jestem obawie, może mnie gwałtem porwać i uwieźć z sobą.

— Panno Marto, nie miejcie tych myśli, gdyby w czemkolwiek wam uchybił, krwią za zniewagę odpowie, a gwałt śmiercią przepłaci! zawołał Tyzenhauz głosem prawdziwego uczucia. Wy jeszcze nie wiecie panno Marto, że jesteście złotą gwiazdą w mem życiu, jasny promień twej dziewiczej czystości, powolnie ściera plamy mego serca, przy was czuje się lepszym czemże się za to wszystko wywdzięczę? Co ja wam dać mogę? Czy serce namiętnością na węgiel spalone godnie uczcić może takiego anioła jak ty jesteś? Dziś Marto, nic więcej dać nie mogę prócz krwi mojej, zginąć za ciebie, byłoby szczęściem dla mnie.

— Dziękuje wam, przerwała Hirszówna, za te słowa które tylko w zacnem i poczciwem sercu zrodzić się mogło. Wy wiecie że jestem tu rzucona bez opieki, waszą więc z radością przyjmuję, wy dzielnem ramieniem będziecie bronili bezsilną istotę, ja zaś łzami mojemi będę łagodzić rany waszego serca i ufam w Bogu, że one je zagoją.

Marta zostawszy samą, uklękła przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, potok łez puścił się z jej oczu i rzewną modlitwą błagała za ukochanym. Wstała pokrzepiona na duchu. rozbierała wszystkie słowa, które przed chwilą słyszała i z rozpromienioną twarzą zawołała:

— Tak! o! tak! On mnie kocha, miłość ma swe odrębne dźwięki! tylko kochające sercę może je zrozumieć! Namiętność zasłania jeszcze wzrok jego ducha, niepojmuje, że nie ją ale mnie kocha!

Zmiany w pałacu podkanclerzego.

Radziejowski opuściwszy Warszawę, pędził drogą do Kryłowa, dziedzicznej swej majętności. Co się działo w jego sercu trudno wypowiedziéć, gniew, upokorzenie, wstyd że został zwyciężony, niełaska króla, zdrada żony, nieposłuszeństwo dworzan, wszystkie te wspomnienia szarpały serce i mąciły myśli, a zlewały się w jedno uczucie, w uczucie zemsty bezgranicznej. Zdawało mu się że nigdy nie dojedzie do Kryłowa, tak mu było pilno. Umyślił nikomu się nie zwierzać ani z zaszłych wypadków ani z planów swoich, działać szybko i skrycie, a za jakąbądź cenę nasycić się zemstą nieubłaganą. Gdy zajechał przed dwór Kryłowski cała służba wybiegła na jego spotkanie, każdy starał się ukazać gotowość na rozkazy wielkiego dygnitarza i dziedzica rozległych włości. Te oznaki uszanowania, ta gorliwość i gotowość wszystkich, podniosły upadającego ducha, nawet zdobył się na kilka słów uprzejmych dla sług starszych, którzy się cisnęli do ucałowania pańskiej ręki. Po krótkim wypoczynku napisawszy słów kilka, rozkazał swe pismo jak najspiesznziej wysłać do podkomorzego Podlaskiego, z którym sąsiadował. Jakoż we trzy godziny nadjechał podkomorzy i po serdecznych uściskał zapytał:

— Jakiż to szczęśliwy wypadek sprowadza pana podkanclerzego w nasze strony? Jakie przywozicie nam nowiny? Czy zdrów król jegomość? Pani podkanclerzyna co porabia, jak idą sprawy publiczne? My mieszkając na wsi, nie wiemy co się na Bożym świecie dzieje. Zacny podkanclerzy, zaspokójcie moją ciekawość.

— Wszystko panie podkomorzy nie najlepiej idzie. Król choć zdrów ale zawsze ma różne strapienia. Żona moja choć się bawi, ale nie szczerze z powodu klęsk publicznych. Ja chciałbym zakończyć wojnę domową z kozakami, ale układy to się tworzą, to się zrywają. Wojna więc dalej prowadzić się musi. Przyjechałem tu aby uzbierać choć trochę ochotników i wysłać ich na plac boju.

— O to nie trudno panie podkanclerzy, byle im dobrze zapłacić a ochotnicy się znajdą.

— Właśnie w tym celu ośmieliłem się was prosić do siebie; przyrzekłem królowi iż do stu dobrych żołnierzy tu zaciągnę, moim własnym kosztem uzbroję i przedstawię królowi, oddając ich na usługę kraju, dalszy werbunek później się dopełni. Ale tych stu ochotników trzeba mi wysztyftować jak najprędzej.

— W jakim czasie panie podkanclerzy chcielibyście to dopełnić?

— Najdalej w ciągu dwóch tygodni kochany sąsiedzie: w tem liczę na waszą przyjaźń, znacie całą okolicę, macie wpływ u szlachty, łatwo wam będzie zebrać ochotników; a na wydatki moja Kryłowiecka kasa jest na wasze usługi. Spieszcie się tylko, im prędzej ten hufiec stanie gotów, tem wdzięczniejszym wam będę. Nieodmówicie mi tej łaski kochany panie podkomorzy?

— W tak zacnej i chwalebnej sprawie któżby się wymawiał od trudów, uzbrajacie żołnierzy własnym kosztem dla pomnożenia sił naszych, krwią i groszem chcecie dopomódz naszej wspólnej matce, to czyn godny was panie podkanclerzy. Szczęśliwy jestem że mnie użyć chcecie za narzędzie do wykonania tego patryotycznego dzieła.

— A więc zaraz bierzcie się do rzeczy, kosztów nie oszczędzajcie, abym tylko w jak najprędszym czasie mógł mych żołnierzy przedstawić królowi.

Wiejski szlachcic, z natury swej ciekawy, zarzucał tysiącznemi pytaniami Radziejowskiego, dowiadując się to o różnych dygnitarzach, to o królu i królowej, to o intrygach dworskich i tem podobnie: wszystko dla zgłodniałego nowin szlachcica było niewyczerpaną treścią do rozmowy. Radziejowski dość krótko odpowiadał, a znudzony ciegłemi pytaniami rzekł w końcu:

— Zacny mój sąsiedzie, wolniejszym czasem ciekawość waszą we wszystkiem zaspokoję, lecz teraz mam tylko na myśli jak najspiesznziejsze zwerbowanie i uzbrojenie ochotników. Muszę jak najprędzej wracać do Warszawy, gdzie mnie najważniejsze sprawy powołują, dacie mi dowód prawdziwej przyjaźni jeśli zaraz weźmiecie się do dzieła.

I usiadłszy przy stole napisał kartkę, którą wręczył podkomorzemu.

— Oto macie kwit na nieograniczoną sumę do mojej kasy, bierzcie z niej ile potrzeba aby tylko rzecz cała szybko poszła.

— Kiedy wam tak pilno panie podkanclerzy, wnet wezmę się do spełnienia waszej chęci, i wprędkim czasie z uzbrojonym hufcem na podwórzu waszem się zjawię.

Uścisnęli się serdecznie, wypili gąsiorek węgrzyna i podkomorzy wrócił do siebie.

Taki wielki dygnitarz jakim był Radziejowski, nigdy i nigdzie nie może mieć spokoju: im kto wyższe zajmuje stanowisko tem większe grono natrętów go otacza. Zatem gdy wieść się rozeszła iż podkanclerzy zjechał do Kryłowa, obywatele i urzędnicy wojewódzstwa jeden po drugim się zjeżdżali, a każdy prócz złożenia winnego uszanowania podkanclerzowi, miał jeszcze jakąś prośbę do niego. Pisarz chciał zostać podkomorzym, podkomorzy kasztelanem, kasztelan wojewodą, inni żądali starostw intratnych, inni zaś starali się o urzęda dworskie. Wszyscy liczyli na protekcyą Radziejowskiego a nic nie wiedząc o jego niełasce, prosili o wstawienie się do króla. Każdemu proszącemu zdaje się być rzeczą łatwą wyjednanie urzędu lub starostwa, zapominają że do tych zaszczytów przychodzi się własną zasługą, że na każde miejsce czycha stu kandydatów, a jeden je tylko otrzymać może.

Słuchał cierpliwie tych próśb pan podkanclerzy nikomu nieodmawiając. Nie tyle nudziły go te śmieszne żądania ile bolała konieczność mówienia o swej wziętości u króla, której już wcale nie posiadał. Chcąc ukryć prawdziwy cel swego przybycia do Kryłowa, musiał zataić, i zajście swoje z królem.

Po upływie dni dziesięciu zjawił się podkomorzy Podolski i oznajmił podkanclerzemu, że przywiódł osiemdziesięciu dobrze uzbrojonych dzielnych ludzi, z dobrym animuszem i gorącą chęcią do boju. Pan podkanclerzy obejrzał sam hufiec uszykowany na dziedzińcu pałacowym, kazał wykonać przysięgę na posłuszeństwo sobie i zapowiedział że gdy przy karności koniecznej będą odważni, podwójnym żołdem ich wynagrodzi.

Wszyscy wykrzyknęli uradowani:

— Niech żyje j. w. podkanclerzy! za nim w ogień i w piekło pójdziemy:

— Jutro skoro świt bądźcie gotowi do wymarszu, rzekł Radziejowski.

Nowozaciężni odpowiedzieli głośnym wiwatem i pomieścili się w dolnych pomieszkaniach pałacu.

Podkanclerzy czując siłę w swych rękach stał się innym człowiekiem. Smutek znikł z jego czoła, nadzieja dokonania zemsty nadała mu gorączkową wesołość; uściskał serdecznie podkomorzego, który rad że przyjacielską usługę mógł wyświadczyć, równie w wesołym był humorze.

W Warszawie tymczasem w pałacu pani Radziejowskiej nieustanne trwały hulanki. Pan podskarbi choć w gruncie despota lubił się jednak otaczać drobną szlachtą którą za pan brat traktował; dom więc coraz więcej nimi się napełniał; niecierpiał on etykiety wielkich panów, nudził się z nimi, bo poważne rozmowy sen mu sprawiały, ze szlachtą zaś czuł się swobodnym, i w nich miał dzielnych towarzyszy do uczt najhałaśliwszych. Po każdej bahandryi które do późnej nocy się przeciągały, służba zbierała porozrzucane butelki, potłuczone szklanki i wynosiła spojonych, plugawiących drogocenne dywany. Podskarbi rzadko będąc trzeźwym, ciągle się rozpłomieniał w swych żądzach miłosnych ku pannie Hirszównie, nalegał aby udział brała w wyprawianych ucztach, to podchmielony wzywał ją do tańca, to spotkawszy ją samą, pragnął ukraść pocałunek, ale panna Hirszówna ze wstrętem i oburzeniem odpierała te napaści i nawet już zamyślała, jakkolwiek z wielką przykrością dom pani podkanclerzyny opuścić. O tem przykrem położeniu chciała zawiadomić swą panią i przy pierwszej sposobności rzekła do podkanclerzyny:

— Muszę się poskarżyć na pana podskarbiego, który zalotnością swoją ciągle mnie prześladuje, kroku ruszyć nie mogę abym go nie spotkała, prawi mi o swoich uczuciach, które tylko wstręt we mnie wzbudzają, i dowodzą lekceważenia honoru bezbronnej jak ja istoty, a nieuszanowania dla domu pani podkanclerzyny.

— Moja Marto, każda ładna kobieta wystawiona jest na podobne niespodzianki, tak było zawsze od ojca naszego Adama aż do dzisiejszych czasów, trudno więc przerobić męzką naturę. Całą naszą obroną zalotność, którą nam często wyrzucają. Oszukiwać ich jest najlepszą drogą naszego postępowania, gdybyś była łagodniejszą dla mego brata, on stałby się mniej gwałtownym. Posłuchaj mnie Marto, sprobój mojej rady, a ten w mniemaniu

twojem, wilk drapieżny, stanie się uległym barankiem.

Łzy zakręciły się w oczach panny Marty na tak cyniczną odpowiedź podkanclerzyny i odpowiedziała:

— Widać że katechizm panów od naszego szlacheckiego bardzo jest różny.

Panna Hirszówna chciała jeszcze sprobować, czy nie uda się namówić podkanclerzynę do wyjazdu z domu, choćby na czas krótki, a wtedy i ona, towarzysząc jej oddali się od prześladowcy; rzekła więc:

— Jak pani możesz znosić te ciągłą wrzawę, te nieustanne pijatyki? Dawniej zgromadzały się w komnatach najdystyngowańsze osoby, wykwintna młodzież, książęta krwi królewskiej, mieli sobie za zaszczyt gościć w jej domu. Dziś sama grubiańska szlachta, rębacze których życiem jest burda, obrzydliwem pijaństwem kalają pańskie komnaty.

— Moja Marto masz poniekąd słuszność: ze wstrętem patrzę na tych nieokrzesanych Litwinów, na tę hałaśliwą szlachtę, ale pobłażam temu i znoszę z konieczności. Ci rąbacze do czasu są mi potrzebni, póki nie skończę sprawy o rozwód z mężem. Boję się jego napadu, a cała siła i obrona moja w tej hałastrze którą brat mój ugaszcza.

— Gdyby, odrzekła Hirszówna, pan podkanclerzy myślał o napadzie, gdyby ten szkaradny zamysł miał wykonać, czyż nie lepiejby było opuścić ten dom niż być świadkiem krwi rozlewu i uchronić się, nie daj Boże, od jakiej zniewagi? Dzisiejsze położenie pani zmusza do szukania innego, bezpieczniejszego schronienia.

— Cóż może być bezpieczniejszego jak zostawać pod opieką zbrojnej szlachty? odpowiedziała pani Radziejowska.

— Oręż orężem bywa pokonany, ale są schronienia których największa siła zbrojna nie dosięga W takich wypadkach jedynie bezpieczne są tylko klasztory. Obok mamy klasztor panien Klarytek, na jakiś czas niech tam pani się przeniesie, ten tylko przed zemstą męża może skuteczną dać obronę Tu dla pani nie ma bezpieczeństwa. Wreszcie kobieta rozpocząwszy sprawę rozwodową, do jej ukończenia zwykle zamykała się w klasztorze, jest to dawny zwyczaj który chroni dobrą sławę opuszczonej kobiety.

— Masz słuszność moja Marto, nie chcę być świadkiem walki, która może być krwawą, a niezawodnie wkrótce się rozpocznie, bo pan podkanclerzy zechce na swojem postawić. Napad by mnie zatrwożył i o chorobę przyprawił, boję się zemsty męża. Usłucham więc rady i jutro wraz z tobą przeniosę się do klasztoru Klarytek.

Uradowana i uspokojona Marta, ucałowawszy rękę podkanclerzyny udała się do swego pokoju czyniąc przygotowania do jutrzejszego wyjazdu.

Gdy o tem postanowieniu podskarbi się dowiedział, wbiegł do komnaty siostry i przedstawił niestosowność tego kroku.

— Czegoż się obawiasz pani siostro? mówił podskarbi. Zebrałem kilkunastu najzawołańszych rębaczy całej Warszawy, każdy szablą byka by rozpłatał, moi Litwini piją tęgo, to prawda, lecz biją się jeszcze lepiej. Na takich zuchów nie będzie śmiał uderzyć pan Radziejowski, a jeśli sprobuje, zapędzę go gdzie pieprz nie rośnie.

— Postanowiłam na jakiś czas wyjechać, i jutro wyjadę, stanowczo odpowiedziała pani Radziejowska, a gdy coś pewnego dowiem się o mężu, gdzie jest i co czynić zamyśla, to wrócę, bo już bezpiecznie będę tu mogła mieszkać bez tej hołoty.

— To nie hołota, to twoi obrońcy pani siostro: każdy szlachcic który krew swoją gotów przelać za ciebie, na inną nazwę zasługuje. Ale wy panowie zawsze pogardzacie szlachtą, a ona was trzyma na tym świecie. Nie będzie szlachty nie będzie i panów, gdy szlachta zginie przyjdzie koniec świata!

— Nie ubliżam szlachcie, rzekła Radziejowska, baw się tu z nimi, ja jutro rano wyjeżdżam.

— Kogoż na swojem miejscu zostawisz? zapytał pan Służka; bez gospodyni dom będzie jak bez głowy. Na swem miejscu zostaw nam Hirszównę, to rozsądna panienka, ona dom w porządku utrzyma i we wszystko opatrzy, a nam gospodarzyć będzie.

— Rozsądna i piękna mój bracie, a to ostatnie, zda mi się, że za wysoko cenisz, mówiła z uśmiechem.

— Piękna jest, to prawda, odpowiedział podskarbi, jestem człowiek szczery i nie taję się że mi się bardzo spodobała. Dałbym jej wioskę w dożywocie gdyby mnie słuchać chciała: ale to harda dusza w ubogiem ciele; jednak ja dojdę z nią do końca jakiem Służka, ja tę sarneczkę upoluję.

— Nadto się bierzesz obcesowo panie bracie.

— Ja inaczej nie umiem, gdy wrócisz, znajdziesz ją już ugłaskaną.

— Ja ją z sobą biorę, rzekła podkanclerzyna.

— A to mi ząb trzonowy wyrwałaś! zawołał Służka. Niechże cię nie znam, pani siostro!

— Bądź dobrej myśli panie bracie. ja ją prędzej jak ty ułagodzę, trzeba działać powoli, już dziś nawet wiedząc o twojem upodobaniu, zasiałam ziarno które pielęgnować będę na twoją korzyść, bądź więc spokojny, dbaj o moje interesa, a twój jest w dobrem ręku.

— Kochana siostro! wykrzyknął uradowany pan Służka, bodaj to z rozumną kobietą sprawa!

Tak uspokojony podskarbi, pożegnał siostrę, która nazajutrz bardzo rano miała się przenieść do klasztoru Klarytek. Choć pił ze szlachtą do północy, jednak raniutko zerwał się z łoża, nietyle aby uściskać siostrę, lecz aby ujrzeć pannę Hirszównę. Zrana wydała mu się jeszcze piękniejszą; jak różana jutrzenka, podskarbi wzroku od niej nie mógł oderwać, pożerał ją prawie oczyma i rzekł ze zwykłą sobie rubasznością.

— Taki mi apetyt wzniecasz moja panno, że zjadłbym cię jak kuropatewkę i do końca życia bym się oblizywał.

— Za twardą byłabym potrawą, odrzekła Hirszówna i mógłbyś się panie podskarbi udławić.

W tem pani Radziejowska wyszła na ganek, pożegnali się serdecznie, Służka ognistym tylko okiem żegnał pannę Martę, która mu odpowiedziała wzrokiem pełnym wstrętu i pogardy.

(d. c. n.)

DWIE OFELIE.

DRAMAT W TRZECH AKTACH

przez

J. Belejowską.

(Ciąg dalszy).

SCENA SZÓSTA.

Antonia, Anna.

Antonia (idąc naprzeciw Anny). Chodź, chodź, Anno droga, niech się podzielę z tobą mojem szczęściem, bo ogrom jego za ciężki na słabe moje ramiona... Henryk zna już moją tajemnicę, a mimo to kocha mnie i zostaje moim mężem... teraz wolno mi już zwierzyć się mojej najlepszej przyjaciołce...

Anna. Nie!... nie!... nie chcę nic wiedzieć... nic mi nie mów...

Antonia. Jakto?... Co to znaczy?

Anna. Nie chcę!... nie chcę!...

Antonia. Co tobie, Anno?... Tak jesteś blada.. pomieszana... Ach! to moje szczęście tak żywo cię wzrusza!... jakżeś ty dobra!... Dowiedz się więc...

Anna. Nie!... nie!... to już nad siły... miej litość... nic mi nie mów!...

Antonia. Przebóg! co się to znaczy... tak jesteś zmieniona.. odpychasz moje zwierzenia... nie mogę pojąć...

Anna (z goryczą). Rzecz naturalna.. ty wybranka losu, lękająca się aż nadmiaru swego szczęścia nie umiesz pojąć nadmiaru boleści i rozpaczy.

Antonia. Anno! zkąd taka gorycz w twoich słowach?... Jakto? ty cierpisz i dotąd ukrywałaś twój smutek... i czekałaś tej chwili, aby dziś, dziś właśnie tak mnie okropnie zmartwić i zasmucić?...

Anna Nie czyń mi wyrzutów!... Długo, długo cierpiałam nie zdradzając ani jednem słówkiem strasznego bólu co mi szarpał duszę; ukrywany ten ból wzrastał i olbrzymiał, dłużej taić go nie mogę, bo zdaje mi się że rozsadziłby mi serce.

Antonia. Więc mów, mów, droga Anno. Wiesz że cię kocham jak siostrę; dla ciebie jednej nawet o mojem szczęściu zapomnieć mogę.

Anna. O twojem szczęściu!... i ciągle mówisz mi o niem!... Czyż nie wiesz że często sam odgłos cudzego szczęścia do łez budzi, i serca raz skrwawione nowym rani ciosem!...

Antonia. Anno, przez litość powiedz mi co to wszystko znaczy? Co się tobie stało?.. i to właśnie dziś... ach biedna moja głowa!... (ściska czoło rękami).

Anna (z goryczą). Co mi się stało. A więc, wiedz że i ja kocham, kocham wielką, niepochamowaną miłością!...

Antonia. Kochasz!... a więc jesteś szczęśliwa!...

Anna. Szczęśliwa!... Ten którego ukochałam innej oddał swe serce... kocham niekochana...

Antonia. Ach! nigdy dotąd nie pomyślałam żeby można kochać bez wzajemności.. ale teraz pojmuję że to być musi okropnie... okropnie...

Anna. O, dnie takich cierpień nie z godzin ale z wieków się składają!...

Antonia. Anno moja.

Anna. Czy ty pojmujesz jak bolesnem echem odbijały się w sercu mojem poufne zwierzenia twoje? Powierzałaś mi wszystko z czego tak słusznie mogłaś się chlubić, każde serdeczne słówko Henryka, każdy czuły uścisk dłoni, każde niemal spojrzenie malujące głębokie jego dla ciebie uczucie... Długo, długo cierpiałam w milczeniu, aż nareszcie przebrała się miara, dzisiejsze szczęście twoje resztę sił mi odjęło... a nadto budząc niewysłowioną zawiść, czyni mnie złośliwą, okrutną...

Antonia. Ty złośliwą! okrutną!... O! nie, droga Anno, ty tylko jesteś nieszczęśliwą, bardzo nieszczęśliwą... Od tej chwili kocham cię jeszcze więcej, i słów mi brakuje aby wyrazić współczucie jakie budzisz we mnie.

Anna. O nie lituj się nade mną!... (na str.) O! to za wielkie upokorzenie!...

Antonia. Powiedz droga przyjaciołko, co mogłoby przynieść ulgę twej boleści? Może pragniesz opuścić Londyn? Wiesz że dyrektor teatru w Nowym-Yorku, tak korzystne ofiaruje mi warunki; dotąd nie chciałam ich przyjąć, bo coraz większe powodzenie i tu świetną rokuje mi przyszłość... ale dla ciebie, dla twej spokojności, potrafię poświęcić sławę, wyrzec się, choćby na lat kilka kraju rodzinnego i droższego nad hołdy obcych, uznania własnych ziomków, i nakłonię Henryka żebyśmy ra-

zem odpłynęli do Ameryki... Może oddalenie, jeśli nie uleczy, to przynajmniej zabliźni twoją ranę.

Anna. Oddalenie!... nie!... nie!... podobne oddalenie żadnej nie przyniosłoby mi ulgi... Ach! gdybym miała odwagę oddalić się sama.. porzucić Drury-Lane i powrócić w rodzinne moje strony:..

Antonia. Co mówisz, Anno! ty miałabyś porzucić teatr, i to teraz właśnie gdy publiczność zaczyna oceniać twój talent... kiedy niezadługo może imię twoje stanie się głośnem!

Anna. Cóż mnie dziś może obchodzić sztuka, zawód artystki, i choćby najgłośniesza sława, skoro nie mogę ich ponieść w ofierze temu, którego serce moje wybrało!...

Antonia. Ale czyż podobna aby cię nie kochał? Czy podobna aby taka miłość nie wywołała wzajemności?... Któż to jest taki, Anno, powiedz mi jego nazwisko?

Anna (na str.) Ach! cóżem uczyniła!... powinnam była przewidzieć to zapytanie... boleść rozum mi odbiera .. (głośno) Jego nazwisko!... o! nie pytaj daremnie, to moja tajemnica.

Antonia. Czyż nie chcesz powierzyć jej twojej najlepszej przyjaciołce?

Anna. Nie! nie! to niepodobna... nie pytaj, nie badaj, bo pojąć nie możesz jaką mi to boleść sprawia... Poprzysięgłam sobie że nazwisko jego nigdy nie wyjdzie z ust moich.

Antonia. Ależ Anno, możeby można... (wchodzi służąca).

SCENA SIÓDMA.

Ciż, Służąca.

Służąca. Proszę pani, wszystko gotowe, już czas się ubierać... pan młody może nadejść lada chwila...

Antonia. Ach! prawda... Widzisz Anno, jak cię kocham... dla ciebie zapominam że czas upływa, cóżby powiedział Henryk gdyby mnie nie znalazł w ślubnem ubraniu...

Anna. O tak! idź, ubieraj się... rzeczywiście już czas... Henryk zapewnie niedługo nadejdzie.. Idź już Antonio, idź się ubierać.

Antonia. Dobrze, ale pomówimy jeszcze o tem (do służącej) Choć Mary! (Wychodzą).

SCENA ÓSMA.

Anna (sama).

Rozpacz pozbawia mnie rozumu... o mało nie zdradziłam się przed nią.. Nie! nie! to niepodobna, ten ślub nieszczęsny nie może się odbyć... ja nie mogę być pierwszą jej druchną; oszalałabym z boleści... Ale cóżem uczyniła!... obłąkana zawiścią jaką rozbudziła we mnie tak wielka miłość Henryka dla Antonii, wybuchnęłam mimowolnie i wyjawiłam przed nią że kocham niewzajemnie... Dziś tak jest rozmarzona, odurzona swojem szczęściem, że nie mogła zebrać myśli... ale gdy ochłonie z uniesienia, gdy się zastanowi i przypomni sobie wszystkich moich znajomych, nie przypuści nawet aby którykolwiek z nich mógł wzbudzić we mnie podobne uczucie, i łatwo odgadnie że kocham Henryka... Co tu począć, co tu począć? Jak on ją kocha!...! ani jednej chwilki się nie zawahał gdy mu powiedziała, że majątek swój straci z dniem ślubu... stojąc pod temi drzwiami widziałam i słyszałam wszystko... Długo łudziłam się że może tylko dla majątku przeniósł ją nade mnie... smutne rozczarowanie!... Powinnabym, a nie mam siły, odjechać, zdaje mi się że póki tu jestem związek ten nie przyjdzie do skutku... O! gdyby jakimbądź sposobem można go zerwać lub chociażby odwlec... (Zamyślona opiera głowę na ręku, po chwili wchodzi służący niosąc list na tacy. Anna jakby ze snu zbudzona) Co to jest?

Służący. To proszę pani, jakiś komisyoner przyniósł list do mojej pani, i powiedział żeby jej go jak najprędzej oddać.

Anna. Dobrze, połóż, pani już pewnie kończy się ubierać, oddam jej tylko przyjdzie. (służący kładzie list i odchodzi) zapewnie znów jakieś grzeczności i powinszowania z powodu jej zaślubin... (przechodzi scenę zamyślona; zatrzymuje się przy stole, machinalnie spogląda na adres, poczem wydaje krzyk i porywa list) Ach! pismo Henryka!.. co to być może? Adres wyraźnie drżącą nakreślony ręką... Co on może pisać do niej, i to teraz kiedy sam powinien był już tu przybyć... (ogląda list na wszystkie strony) Niepodobna nie przeczytać... Czyżby się rozmyślił?... Może gdy minęło pierwsze uniesienie, gdy się zastanowił chłodno, nie chce żenić się z Antonią pozbawioną majątku?... Może nareszcie los ulitował się nade mną, może jeszcze nie wydziera mi ostatniej nadziei?... (znowu list ogląda) Antonia i tak dałaby mi list ten do przeczytania... kto wie co się w nim zawiera? Może i dla niej lepiejby było, iżbym ja przeczytała pierwej... Zobaczywszy pismo Henryka Antonia tak prędko rozedrze pieczątkę iż niezawodnie nie postrzeże że była naruszona... Muszę, muszę przeczytać. (lekko nożykiem rozcina kopertę i wyjmuje złożoną kartkę) Pisze na kartce wydartej z pugilaresu... wszystko to dowodzi czegoś nadspodziewanego... Czytajmy!

„Miałaś słuszność Antonio moja! za nadto byliśmy szczęśliwi, i los zawistny strasznym gromem zasępił błękitne szczęście naszego nieba. Kiedy wychodząc od notaryusza, miałem już tylko kupić żądany bukiet i wracać do ciebie, aniele mój drogi, aby dziś jeszcze u stopni ołtarza zaprzysiądz ci dozgonną miłość, spotkałem szukającego mnie właśnie rządcę majętności ojca mego, który oznajmił mi że biedny, jak ci wiadomo, od dawna już cierpiący, ojciec mój ukochany, został tknięty paraliżem, i wzywa mnie do siebie dla odebrania ostatniego błogosławieństwa. Nie mam więc chwili do stracenia, nie mogę cię nawet pożegnać osobiście, Antonio moja! List ten piszę na prędce, w pierwszym napotkanym sklepie i odsyłam przez komisyonera W domu nic nie wiedzą o moim wyjeździe. Żegnaj mi kochanko! żono! wiem że zapłaczesz nade mną i pomodlisz się za mego najlepszego ojca; wrócę jak mi tylko obowiązek syna dozwoli i już nigdy, nigdy się nie rozłączymy.

Twój na zawsze
Henryk Booth."

Ach! sam los nie chce tego związku!... Jak przyjmie tę wiadomość Antonia? Możnaż nie wierzyć w przeczucia? Słusznie lękała się swego szczęścia... daremnie jednak rzuciła pierścień w Tamizę, nie odwróciła grożącego ciosu... (siada i zamyśla się) Ach! co za myśl!... Henryk nie może wrócić przed tygodniem... gdybym też zatrzymała ten list... Antonia nie wiedząc o niczem, najpierw dziwiłaby się że nie przychodzi... a nareszcie gdy minęłaby godzina ślubu, a potem dzień drugi i trzeci, musiałaby wnosić że dowiedziawszy się o jej ubóstwie, nie chce pojąć jej za żonę, i może dotknięta zarazem w swej miłości i dumie, przyjęłaby propozycyą dyrektora teatru w Nowym-Yorku i odpłynęła do Ameryki zanim Henryk powróci.. Nie zastawszy jej Henryk oburzyćby się musiał na jej niewdzięczność i niewierność, a strapiony utratą ojca i narzeczonej w mojej przyjaźni szukałby pociechy, i powoli, powoli zapomniałby może o niej a przywiązał się do mnie... Ileż to razy tak się zdarza!... Ach! prawda, służący mógłby powiedzieć Antonii że oddał jakiś list do niej... nie mogę więc go zataić.. Tak, ale mogę podstawić inny, nie dozwalający jej wątpić o zmianie postanowienia Henryka.. a tak! tak jeszcze lepiej będzie... (siada do biórka; po chwili uderzając się w czoło) Cicho sumienie! nie trwóż mnie!... nie wołaj że to nikczemny podstęp... Tak wielka, tak gwałtowna miłość jak moja, musi, powinna łamać i druzgotać wszelkie zapory i przeszkody... Zresztą, cóż w tem tak złego... wszak ja tylko korzystam z okoliczności... (pisze, potem wsuwa list w kopertę od listu Henryka i podlepia; zaledwie skończyła, Antonia wchodzi ubrana w ślubnej sukni, tylko nie ma jeszcze przypiętego welonu, wieńca i bukietu. Służąca wnosi je za nią, kładzie na toalecie i wychodzi).

SCENA DZIEWIĄTA.

Anna, Antonia.

Antonia. Otóż jestem... tylko ty, druchno moja, przypniesz mi sama welon i wieniec... Ale cóż to, nie ma jeszcze Henryka? A ja bałam się żeby nie czekał na mnie... (niespokojnie) Jużby być tu powinien... Co może być powodem opóźnienia?...

Anna. Bądź spokojna; może jeszcze przybędzie.

Antonia. Może! Ach! Anno, jakimże głosem to mówisz? Więc obawa moja i niepokój nie są płonne? Więc nie daremnie niepojęte jakieś przeczucia szarpały mi serce...

Anna. Ależ ja nic nie wiem...

Antonia. Anno! Anno! ty coś ukrywasz przede mną... Powiedz, powiedz, zaklinam cię!... Może jakie nieszczęście spotkało mego Henryka... może... bo nie mogę przypuścić... nie! nie! on taki szlachetny! tak mnie kocha!... nie to nie podobna!... a jednak... O! mów Anno, mów!... taka niepewność to najstraszniejsza męczarnia...

Anna. Ale może to jeszcze nic pewnego... poczekajmy... może jeszcze Henryk nadejdzie... (na str.) Ach! sama nie wiem co mówić... to trudniej niż myślałam, .

Antonia. Anno! czy już nie jesteś moją przyjaciołką? Czy nie widzisz co cierpię, nie pojmujesz że mogę oszaleć z niespokojności... Mów, mów! zaklinam cię na dawną przyjaźń naszą... na miłość twoją...

Anna. Na miłość moją!... a więc dobrze... powiem.. Mówiono mi że Henryk wyjechał gdzieś nagle... nie wierzyłam... ale zadziwiona że nie przychodzi, posłałam do jego mieszkania, i... i...

Antonia. Kończ! kończ!

Anna. Nie umiano mnie objaśnić gdzie pojechał i kiedy wróci... (mówi to pomieszana, twarz zdradza niepokój wewnętrzny) Zresztą przyniesiono jakiś list do ciebie, może on lepiej objaśni. (podaje list drżącą ręką).

Antonia (patrząc na adres). Od Henryka! (prędko rozdziera kopertę, rozkładając list) Adresowany ręką Henryka, a list pisany jakimś nieznanem mi pismem..! Co to być może?... (spogląda na podpis) James Russel!... nie znam nikogo tego nazwiska. (czyta)

Pani!

„Jestem notaryuszem panów Booth, ojca i syna; list ten piszę z polecenia i upoważnienia pana Henryka Booth. Dotąd nie znał on dobrze rzeczywistego majątku ojca swego, mniemał że jest daleko znaczniejszym, i dopiero przyszedłszy do mnie w celu spisania intercyzy i zapewnienia pani 500 f.st. dochodu, które utraciłabyś idąc za niego, przekonał się że stan majątku nie dozwala mu być tak wspaniałomyślnym, ani też żenić się z osobą zupełnie ubogą. Zresztą ojciec jego nigdyby nie zezwolił na podobny związek. Zatem zmuszony zadać gwałt swoim uczuciom, i nie mając siły, sam zawiadomić panią, że w obecnych okolicznościach zamierzony

związek wasz nie dojdzie do skutku, pan Henryk Booth włożył na mnie ten smutny obowiązek i sam postanowił odjechać... (widząc bezmierną boleść wyrytą w twarzy Antonii, Anna dręczona wyrzutami sumienia, chce zdaje się przemówić i wyznać prawdę, co postrzegłszy Antonia, mówi spokojnie) Proszę cię, dozwól mi skończyć. (czyta dalej) Pani zaś radzi, abyś przyjęła świetne warunki dyrekcyi teatru w Nowym Yorku. Wywiązawszy się z przykrego polecenia mego klienta, mam zaszczyt załączyć zapewnienia głębokiego poważania.

Uniżony sługa
James Russel."

(Skończywszy czytać, Antonia śmieje się dziko, postępuje parę kroków i mówi poważnie).

Anno, proszę cię, podaj mi mój welon ślubny.

Anna. Twój welon ślubny?...

Antonia. Tak, prędzej, proszę cię! (Bierze z rąk Anny welon i powoli, rozważnie przypina go sobie do głowy, poczem mówi jak najspokojniej:) Teraz podaj mi wieniec.

Anna. Ależ powiedz mi...

Antonia. Podaj mi wieniec!

(Anna drżącą ręką podaje wieniec, spoglądając na nią z osłupieniem, Antonia kładzie go sobie na głowę).

Antonia. Mój bukiet ślubny!

Anna (na stronie). Czyżby dostała pomieszania zmysłów?—Ale tak dziwnie spokojna... (głośno) Błagam cię, Antonio, powiedz mi co to wszystko znaczy?

Antonia. (Nie odpowiadając przypina bukiet, potem obraca się spokojnie i mówi rzewnie z niewysłowioną słodyczą i uczuciem) Żegnaj mi, Anno! (Chwyta ją w objęcia, przyciska do serca, potem nagle biegnie na balkon, i zanim Anna zrozumiała jej zamiar, staje na (poręczy balkonu, i skacze w Tamizę mówiąc:)

Tam znajdę mój pierścień ślubny!

Anna (biegnie ku balkonowi i spostrzegłszy że Antonia wyskoczyła, załamuje ręce i woła z rozpaczą). O ja nieszczęsna! cóżem uczyniła!

(Zasłania twarz rękami, zasłona spada).

(d. c. n.)

Z kraju i z zagranicy.

+ Literatura polska w Niemczech. Mimo, że ogół niemiecki nie żywił nigdy i nie żywi dla nas sympatyi—co stwierdzone tylu dowodami w polityce, w szkołach i życiu prywatnem, mieliśmy jednak i mamy dotąd przyjaciół wśród Niemców, a są nimi ich poeci. Nienawiść niemiecka rzadko odbija się echem w poezyi niemieckiej, a panów „Heine" mało było do obrzucania nas błotem.

Jednymi z najpierwszych z pomiędzy tych naszych przyjaciół byli:

Jan Gotfyd Seume, Hrabia Platen, Jerzy Horwegh, Holtei, Maltiz, Juliusz Mosen.

Gaudy i Lenau, obadwaj tłomaczyli pieśni polskie. Gaudy Niemcewicza „Śpiewy historyczne" — a Lenau, który był osobistym przyjacielem Mikołaja Bołoza Antoniewicza, przetłomaczył tegoż „Pożegnanie Galicyi"—„Abschied von Galizien".

Justyn Kerner pokochał Polaków serdecznie i otaczał się nimi często w swej willi pod Weinsbergiem. Jednym z najbliższych serca poety był jenerał Rybiński, który całemi miesiącami gościł u niego i tłomaczył mu na niemiecką prozę pieśni polskie a Kerner je potem w poetyczną ubierał szatę. Takim sposobem przetłomaczone zostały „Romantyczność" Mickiewicza, „Sowiński" Gaszyńskiego i inne. Przekłady te pięknie i wiernie oddają oryginały.

Do tegoż kółka należał i Uhland; hrabina Ida Hahn-Hahn; Wilh. Wackernagel i Ortlepp, godni wspomnienia dla kilku pieśni wybitnych.

Moglibyśmy spis ten powiększyć całym szeregiem nazwisk mniej znanych i cały tom takich poezyi zestawić, lecz nie chodzi nam tyle o przeszłość, co o obecną chwilę i obecnie żyjących naszych przyjaciół poetów. Dzisiaj z dumą patrzymy na dostojne grono tłomaczy naszych a każdy z nich poeta oryginalny.

Konstanty Wurzbach, piszący pod pseudonimem W. Constant, oficer w wojsku austryackiem, w Krakowie nauczył się po polsku i oddał się studyom literatury polskiej. Następnie promował się na doktora filozofii i jako owoc swoich studyów wydał: „Poetę i świat" Kraszewskiego w niemieckiem tłomaczeniu, „Zbiór przysłów polskich" z objaśnieniami i „Zbiór pieśni ludowych polskich i rusińskich." Miał także zamiar wydać historyą oświaty i historyą literatury polskiej, lecz praca olbrzymich rozmiarów: „Słownik alfabetyczny wszystkich pisarzy austryackich" była powodem, że powyższego planu zaniechał. Ale i tak przysłużył się literaturze polskiej, bo w skład wspomnionego wyżej dzieła wchodzi blizko 700 biografii polskich.

Z własnych jego, oryginalnych utworów zapisać możemy dzieło poetyczne pod tytułem „Von einer verschollenen Konigsstadt, zawierające obrazy z przeszłości i teraźniejszości miasta Krakowa. Niektóre obrazki poetyczne przypominają Wincentego Pola obrazki górskie.

+ Panna Anna Tomaszkiewicz, mając patent doktora medycyny uniwersytetu Zurichskiego i która złożyła egzamin na kursach medycznych żeńskich przy jednym ze szpitali w cesarstwie, otrzymała obecnie zezwolenie na zajmowanie się praktyką lekarską w Warszawie, z prawem ordynowania w szpitalach kobiecych, położniczych i dziecinnych.

+ „Macierz." Nader przyjemną wiadomość przyniósł ostatni numer „Biesiady Literackiej." Piękne dzieło J. I. Kraszewskiego „Macierz Polska," wprowadzona będzie w życie około nowego roku 1881, więc za jakie dwa lub trzy miesiące, według aktu fundacyjnego, spisanego przez prawników zgodnie z myślą założyciela. Chociażby przyrzeczone Kraszewskiemu fundusze chybić miały, założyciel znajdzie inne; i zawsze instytucyę, lubo mniejszych niż zamierzał rozmiarów. do skutku za kilka miesięcy doprowadzi. Godzi się wszelako spodziewać, że nietylko przyrzeczenia już dane się ziszczą, ale i nowe jeszcze fundusze przed zagajeniem czynności „Macierzy" do jej skarbca wpłynąć pośpieszą.

+ W wielkim tunelu Św. Gottarda prace budownicze o tyle już postąpiły, że przestrzeń 8,964 metrowa jest zupełnie ukończona. Inżynierowie tunelu jednakże wielce są zakłopotani ciągłem osuwaniem się skał w niektórych miejscach. Według jednego z uczonych, profesora Colladon'a, pokłady w tem miejscu znajdują się z łupku wapienno-gliniastego, który chciwie pochłania wilgoć i niezmiernie pęcznieje. Gdyby tunel podobny prrzechodził pod górą Montblanc, na przebiegu swoim miałby trzy wiorsty takiej skały.

Zawalenia w tunelu San-Gottardzkim, według wiadomości ostatnich, powtarzają się ciągle. Inżynierowie przypuszczali z początku, że podmurowanie granitowe, na dwa metry grube, zabezpieczy obrywanie się skały. Oczekiwania zawiodły ich mur granitowy nie przydał się na wiele. Inżynier geolog p. Stapf utrzymuje że trzeba będzie obejść to miejsce i przebudować całą ową część galeryi podziemnej. Robota taka wymagałaby przynajmniej dwóch lat czasu i kosztów niemałych. Jest jednak nadzieja, że inżynierowie dadzą sobie radę w sposób mniej kłopotliwy i kosztowny. Według bowiem doniesień ostatniej chwili, na całej tej przestrzeni niebezpiecznej, mającej długości metrów dwieście, a leżącej prawie pod Andermatem, poskutkowało dobrze zakładanie pierścieni granitowych litych, na cztery metry długich. Pierścienie te trwałości niezmiernej stanowić będą że tak powiemy, oprawę tunelu wzdłuż przebiegu jego przez pomienioną miejscowość, a grubość ścian ich dochodzić będzie do stóp dziesięciu.

+ W Węgrzech do kroniki zasobnej już w szereg zamachów na życie redaktorów przybył świeżo fakt nowy.

Dziennik „Vaczi Közlöny", umieścił w tych dniach artykuł oskarżający dwóch obywateli miejscowych o lichwę. Pewnego wieczora, gdy redaktor p. Kompolty wracał późno do domu, jakiś barczysty mężczyzna schwycił go nagle jedną ręką za gardło i począł go dusić, drugą zaś pchnął go sztyletem w plecy. Szczęściem ostrze ześliznęło się i przedziurawiło tylko surdut. P. Kompolty silnie uderzył w twarz napastnika, i wtejże chwili udało mu się wydobyć z zanadrza rewolwer, który, skutkiem otrzymanych przed kilku dniami listów pełnych pogróżek, tudzież ostrzegających aby miał się na ostrożności, nosił przy sobie. Zbrodniarz puścił redaktora i zaczął uciekać.. Na krzyki i odgłos strzału zbiegli się ludzie; nie zdołano jednak zatrzymać winowajcy. Została tylko na ulicy chustka skrawiona, którą złoczyńca musiał widocznie przykładać do rany, jaką otrzymał od kuli rewolwerowej. W mieście panuje wielkie oburzenie, a śledztwo prowadzi się energicznie.

+ Miss Norwood, misyonarka amerykańska w te słowa opisuje operacye przez które przechodzą nóżki dam chińskich modnego świata.

Bandażowanie nogi rozpoczyna się wtedy, skoro dziecko chodzi i biega już o własnych siłach. Specyalnie wyrabiane bandaże, szerokie na dwa cale, używają się w roku pierwszym długie na dwa jardy w latach następnych pięć jardów. Koniec paska takiego przykłada się do podbicia; następnie okręca się nim nogę, ściągając palce ku podeszwie. Położywszy kilka bandaży jeden na drugim, końce ich zszywają się z sobą. Noga wówczas skrępowana jest tak, iż dziewczynka chodząc, li tylko końcem wielkiego palca dotyka ziemi.

Po miesiącu zdejmują się bandaże, przyczem nierzadko odpada palec jeden i drugi, a noga, zwykle pokryta wrzodami, moczy się, posypuje ałunem i natychmiast bandażuje silniej na nowo. W pierwszym roku ból jest tak wielki, iż pacyentki niczem zająć się nie są w stanie. Po latach trzech noga obumiera już zupełnie, od kolana do stopy wysycha tak, iż przedstawia li tylko piszczel pokryty skórą. „Złota lilia," jak dama chińska nóżkę swą nazywa, pierwotnych kształtów nie odzyskuje już nigdy.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 14 Октября 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 44 r. 1880.

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

T. MARYAT.

(przekład z angielskiego.)

(Dalszy ciąg).

Zaraz usłyszawszy to osądziłam że postępowanie takie było nielitościwe i okrutne; następnie rozwaga nie złagodziła bynajmniej tego wyroku, co najmniej wstrętny i zimny egoizm. Cofając się myślą w przeszłość, przypominałam sobie że nigdy nie zbywało nam na rzeczywistych życia potrzebach, utrzymywałyśmy się bardzo skromnie, ale zawsze przecie miałyśmy z czego żyć. Mieszkałyśmy w ubogich pokoikach w chatce rybackiej; przez kilka lat jedne nosiłyśmy suknie, zmieniając tylko nieco nasz ubiór odnośnie do pory roku, ale nigdy nie zbrakło nam na żywność, opał i skromną odzież, a nawet podczas choroby nie zbywało matce na niczem co jej jakąkolwiek ulgę przynieść mogło i czego wymagał stan jej zdrowia. Skądże brała na to wszystko? Kto dawał jej potrzebne na te wydatki pieniądze?...

Jeźli pan Dawid mówił prawdę, więc żadna pomoc nie mogła pochodzić od niego, gdyż widocznie nie troszczył się o nasze potrzeby, a z drugiej strony wiedziałam dobrze iż biedna matka moja nie była zdolną do żadnej chlebodajnej pracy. Daremnie łamałam sobie głowę, im więcej myślałam tem mniej umiałam odpowiedzieć sobie na te pytania, nie widząc innej rady, postanowiłam zwrócić się do kuzyna Ulryka, aby mi dopomógł rozwiązać tę nierozwiązalną dla mnie zagadkę.

Kuzyn Ulryk znał matkę moją od lat dziecinnych, on jeden z krewnych pośpieszył jej z pomocą w ostatnich życia chwilach, a zresztą osądziłam że jestem już w tym wieku w którym powinnam wiedzieć wszystko co tylko odnosiło się do moich rodziców.

Może to wielu osobom dziwnem się wydawać, że z zapytaniem tem nie zwróciłam się wprost do tego który przedstawił mi się jako ojciec,—lecz zadziwienie to znikłoby w jednej chwili gdybym mogła wyrazić słowami wstręt jaki uczuwałam do pana Dawid'a, od chwili gdy zrobił mi to nieszczęsne wyznanie.

Lekcye malarstwa które dawniej tak niewysłowioną sprawiały mi przyjemność, obecnie stawały się prawdziwą męczarnią. Z jakąż to wielką obawą oczekiwałam zawsze czwartku, a do sali rysunkowej wchodziłam jakby do katowni. Nie mogłam więc przemódz na sobie aby z panem Dawid'em zacząć mówić o matce mojej, a tem samem i o nim. Uderzyło mnie jak zimno i obojętnie mówił o matce mojej, i byłam przekonana że miłość jaką niegdyś uczuwał dla niej, najzupełniej zamarła w jego sercu, że nawet nie umiał szanować jej pamięci, i że popełniłabym świętokradztwo narażając tę drogą dla mnie jej pamięć na jego krytykę i naganę. A potem skoro przyznał że przez cały ten czas nie miał żadnych z nią stosunków i nie był w stanie dawać na nasze utrzymanie, więc, jeźli to było prawdą, nie mógł mi żadnych w tym względzie udzielić objaśnień, w przeciwnym razie jakąż wiarę mogłam przywiązywać do jego odpowiedzi.

I dla tego to postanowiłam zasięgnąć wiadomości z Rockborough.

Od chwili owego odkrycia, zapał z jakim wyrażałam się o moim nauczycielu rysunków ostygł bardzo, i oziębienie to nie przeszło niepostrzeżenie. Niestety! byłam bardzo mierną komediantką. Dawniej wychwalałam zawsze bardzo, dobroć, uprzejmość, gorliwość i talent nauczyciela rysunków, obecnie taki wstręt uczuwałam do niego, iż z największą przykrością wymawiałam jego nazwisko. Musiałam więc znosić żarty i docinki koleżanek o zmienności mego charakteru, a Felicyta która bardzo uwielbiała pięknego profesora, za to że tak dobrze dochował powierzoną mu przez Ernesta Moore tajemnicę, nie mogła pojąć co mogło zniechęcić mnie do niego; tak więc dla pozoru musiałam okazywać mu dawną uprzejmość, ale zawsze byłam bardzo poważna i o ile możności unikałam z nim rozmowy Tak więc tylko od czasu do czasu, mógł cichem słówkiem przypomnieć mi łączące nas węzły, a ja tylko przez pamięć na to że Bóg nakazuje nam czcić rodziców zdołałam nie okazywać jaką rozmowa jego sprawia mi przykrość. Zdaje się jednak że mimo tych moich usiłowań, pan Dawid tak z mego milczenia jak z oschłych i krótkich odpowiedzi odgadywał niechęć jaką czułam ku niemu.

Nawet pochwały jakiemi obsypywał moje artystyczne prace, nie sprawiały mi teraz żadnej przyjemności, gdyż nie mogłam szukać niewinnej chluby z talentu który dziedziczyłam po nim; zresztą zdawało mi się że własna pycha jego dyktowała pochwały jakich nie szczędził mi przy każdej sposobności.

Tak upłynęło szkolne półrocze, a gdy w grudniu przybyłam do Rockborough postarzałam ó lat kilka, a serce moje dojrzało skutkiem przebytych cierpień i niepokojów.

Przyrzeczenie dane ojcu co do zachowania tajemnicy, nie mogło się rozciągać do mówienia o nim jako o nieżyjącym, to też z niewysłowioną niecierpliwością upatrywałam stosownej chwili, w której mogłabym się dowiedzieć o ile kuzyn Ulryk zna jego dzieje.

Prędzej niż się spodziewałam nadarzyła mi się przyjazna sposobność. Trzeciego dnia po przybyciu mojem do Rockborough, kuzynka Maryanna pozostała w swoim pokoju z powodu cierpień reumatycznych, zasiadłam więc sama do śniadania i właśnie myślałam o tem czy będę mogła użyć przechadzki po południu, gdy nagle drzwi się otwarły i wszedł kuzyn Ulryk. Była to nader miła niespodzianka, gdyż opiekun mój nader rzadko przybywał na drugie śniadanie; zerwałam się idąc ku niemu, i mógł wyczytać z mej twarzy, jak wielką radość sprawiało mi jego przyjście. Nie pozwolił mi przysunąć krzesła i wszystko przygotować do jego śniadania; mówiąc że on to raczej powinien mi teraz oddawać te małe posługi, gdyż rzeczywiście nie jestem już dziewczynką ale kobietą.

— *Kobietą!* wykrzyknęłam, ździwiona i uradowana zarazem że mnie tak nazwał; poczem stanąwszy przed lustrem, zawołałam żywo: „Czy rzeczywiście zmieniłam się tak, kuzynie Ulryku?

Słowa mego opiekuna otwierały mi nowy horyzont, zaczęłam przypatrywać się sobie w lustrze, jakbym się pierwszy raz zobaczyła. Wprawdzie nie raz myślałam sobie że jestem już dorosłą panną, ale nie dowierzałam mojej młodocianej wyobraźni, lecz teraz gdy kuzyn mój, człowiek *dojrzały* i doświadczony, podzielał moje zdanie mogłam być zupełnie zadowolnioną, gdyż zatwierdzał je pieczęcią wyższej władzy.

Gdy przypatrywałam się sobie w lustrze, światło zabłysło w moim umyśle; uznałam iż kuzyn Ulryk ma zupełną słuszność, gdyż wcale teraz nie wyglądam na dziecko.

Postać uśmiechająca się do mnie w zwierciadle, miała twarz raczej wściągłą niż okrągłą, biust dobrze ukształtowany! figurę zręczną i wciętą, była modnie uczesaną, wzrostu dość wysokiego, co wszystko połączone tworzyło obraz skończony.

Gdy tak uśmiechałam się do siebie podzielając zdanie wypowiedziane przez mego opiekuna, usłyszane westchnienie wróciło mi pamięć obecnej chwili.

— A! to dopiero grzecznie z mojej strony, żeby tak wstać od stołu, zawołałam wracając na swoje miejsce; ale nie wiedziałam, kuzynie Ulryku, że ci się wydaje tak zmienioną.

— Młode dziewczęta dorastają bardzo prędko, odrzekł spokojnie. Ileż masz teraz lat, Doro?

— W marcu skończę szesnaście.

— No, to czas już przestać być dzieckiem; ale też masz teraz daleko poważniejszą minę, — spostrzegłem to od pierwszego spojrzenia.

Teraz ja z kolei ciężko westchnęłam, bo słowa mego opiekuna przypomniały mi okoliczności będące powodem mego spoważnienia, jakoteż ważne pytania jakie pragnęłam mu zadać. Nie mogło być stosowniejszej chwili; gdyż nader rzadko miewałam sposobność rozmawiać z nim sam na sam.

— Kuzynie Ulryku, zapytałam nagle, kiedy umarł mój ojciec?

Wypowiedziałam to ze spuszczoną głową, zapatrzona w talerz, aby ukryć rumieniec jaki w tej chwili na twarz moją wystąpił. Upłynęła minuta zanim mi odpowiedział.

— Skąd ci przyszło zadać mi podobne pytanie?

— Nigdy nic pewnego nie wiedziałam o tem, a jestem już teraz w tym wieku że zrozumiem wszystko co możesz mi powiedzieć, odpowiedziałam wymijająco.

— Ja także mało bardzo wiem o tem, moja droga, gdyż przez lat wiele nic nie wiedziałem gdzie się obracają twoi rodzice. I dopiero... gdy... dopiero w chwili śmierci twej... matki, przybyłem do niej.

To także wydawało mi się szczególniejszem i różne nasuwało domysły, że kuzyn Ulryk bardzo niechętnie mówił o matce mojej, choć nie raz zadawałam mu ważne odnoszące się do niej pytania. I teraz też zauważyłam że jak tylko zaczęłam zadawać mu pytania na które tak gorąco pragnęłam usłyszeć odpowiedź; zwykły spokój i moc jaką zawsze miał nad sobą zachwiały się nieco, a postawa i obejście zdradzały pewne pomięszanie; nadto jakiś odcień smutku rozlał się w twarzy i przyćmił blask jego oczu. Chociaż wtedy nie znałam wcale przeszłości mego kuzyna, zrozumiałam żem go zasmuci-

ła i żałowałam prawie że zadałam mu podobne pytanie.

— Więc ojciec mój nie był przyjacielem twoim, kuzynie Ulryku?

— Nie, Doro.

— Czy był to zacny człowiek?

— Sąd o tem nie do mnie należy; a zresztą znałem go za mało aby wyrokować o tem.

— Wszak ożenił się z matką moją wbrew woli jej rodziców; którzy odtąd znać jej nie chcieli, rzekłam tonem zwierzenia.

— Skądże wiesz o tem Doro? zapytał zdziwiony.

— Tak mi mówiono, kuzynie Ulryku. Wiem także iż to jest powodem że nigdy nie widziałam mego dziadka mieszkającego w Trampton.

Pomyślał że zapewnie siostra jego lub ktoś ze służby zawiadomił mnie o tych szczegółach, gdyż nie zadał mi żadnego w tym przedmiocie pytania.

— Wiadomości twoje, Doro, są zupełnie dokładne; rodzice twoi pobrali się wbrew woli całej rodziny twej matki, i jak to zwykle dzieje się w takich razach, był to związek bardzo nieszczęśliwy. Ale wszystko to już dawno minęło.

— Czy wiadomo ci, kuzynie Ulryku, gdziem się urodziła?

— Nie wiem z pewnością, ale zdaje się że gdzieś na stałym lądzie. Czy masz zamiar odbyć pielgrzymkę do miejsca swego urodzenia, dla wydobycia metryki chrztu? dodał z uśmiechem.

— Nie, tylko chciałabym wiedzieć wszystko co się do tego odnosi, — tak nie miło nie znać żadnych szczegółów dotyczących stosunków rodzinnych. Czy ojciec mój umarł przed naszem przybyciem do Saltpool?

— Nie umiem ci na to odpowiedzieć; nic wtedy nie słyszałem o jego śmierci a i następnie nic nie dowiedziałem się o tem.

— Czy jesteś pewnym że on rzeczywiście umarł?

— Tak myślała twoja matka.

— Ale czy stanowcze miała o tem przekonanie?

— Nie, ale od lat kilku żadnej od niego nie miała wiadomości. Jednak możesz być pewną, moja droga, że ojciec twój nie żyje, gdyż jak tylko oddano cię pod moją opiekę, uznałem za stosowne ogłosić w gazetach wszystkich krajów, wezwanie do tego który większe miał do ciebie prawo. Niepodobna aby ogłoszenie to nie dostało się do rąk jego; w jakim kolwiek cywilizowanym zamieszkałby kraju. Trzy lata minęło a ojciec twój o sobie nie dał wiadomości—można więc być pewnym że nie żyje, bo nic na świecie nie powinno powstrzymywać ojca do zgłoszenia się po swoje dziecko.

Oh! jakże nie znał mego ojca! szlachetne i wspaniałomyślne serce jego nie mogło pojąć samolubstwa i poziomego umysłu pana Dawid'a!... Nie dowierzając sama sobie czy się nie zdradzę, zaprzestałam szczegółowego badania i od razu przeskoczyłam do najważniejszego zapytania.

— Proszę cię, kuzynie Ulryku, powiedz mi z jakich funduszów utrzymywałyśmy się w Saltpool?

Usłyszawszy to niespodziewane pytanie, kuzyn Ulryk położył na stole nóż i widelec, i zadziwiony zaczął wpatrywać się we mnie.

— Coś powiedziała, Doro?

— Zadałam bardzo logiczne pytanie, kuzynie Ulryku. Skoro matka nie miała pewnych danych o śmierci mego ojca, i na kilka już lat przed śmiercią żadnej od niego nie miała wiadomości, z jakichże funduszów utrzymywałyśmy się przez cały ten czas? Kto płacił za nasze pomieszkanie, odzienie i żywność? Skąd matka brała pieniędzy na niezbędne wydatki, bo choć byłyśmy bardzo ubogie, zawsze przecież żyłyśmy z czegoś. Wszak prawda?

Nazywając mnie kobietą! kuzyn Ulryk ani zapewnie przypuszczał że tak logicznie rozumować potrafię, bo gdy wypowiedziawszy cały szereg tych pytań podniosłam na niego oczy, nie mogłam nie widzieć jego zdumienia. Rumieniec tak mocny jak i występujący niekiedy na moje policzki, pokrył twarz jego poczem prędko spuścił oczy i zmieszany i zakłopotany zaczął się w stół wpatrywać.

— Sądzę że nie jest to dla ciebie, Doro, kwestya zbyt wielkiej doniosłości, odrzekł po dość długiem milczeniu, podczas którego nie spuszczałam z niego oczu.

— Przeciwnie, jest to tak ważna dla mnie kwestya, że koniecznie rozwiązać ją pragnę. Dla czegóż miałabym nadal pozostawać w nieświadomości tego co mnie tak blizko, tak żywo obchodzi.

— A choćby dla tego że nikt nie jest w stanie zadowolnić twej ciekawości. Matka twoja napomknęła mi coś dozwalającego wnosić że ojciec przysełał jej potrzebne na wydatki pieniądze.

— Co! sir Lionel Halsted, ten człowiek który nawet widzieć mnie nie chce? O! kuzynie Ulryku, sam przyznaj że to nieprawdopodobne.

— Nie umiem odpowiedzieć na to, serce człowieka jest często dla niego samego niezbadaną tajemnicą. Być może iż dziadek twój litował się nad twoją matką, (i wiem nawet że tak było chwilami) a jednocześnie przez dość naturalną anomalię, uczuwał jakiś wstręt do ciebie. Oburzało go niewymownie postępowanie twego ojca, i mógł się obawiać że widok twój stanie się ciągłą dla niego męczarnią.

— Więc cały ciężar na twoje zrucił barki, i może to ścierpieć abym całe życie była dla ciebie ciężarem! zawołałam unosząc się.

Ulryk zwrócił na mnie poważne, pełne wyrzutu spojrzenie.

— Doro, ty nie myślisz tego co mówisz.

— Wiem dobrze iż nie mam prawa do twojej dobroci, a wszystko zawdzięczam tobie... O! kuzynie Ulryku, jakim sposobem zdołam dowieść ci wdzięczności mojej!...

— Nigdy nie wspominając o zaciągniętych obowiązkach wdzięczności, kochana Doro.

— Zastosuję się do twojej woli, powiedz mi tylko kto dawał na nasze utrzymanie w Saltpool?

Zadając to pytanie, patrzyłam mu w oczy; i znowu zobaczyłam jak twarz jego oblała się rumieńcem. Wtedy w umyśle moim przesunęło się jak błyskawica niezbite podejrzenie.

— A! zawołałam oświecona nagle, i westchnienie zadowolnienia wydobyło się z mej piersi — kuzynie Ulryku, zdaje mi się...

Ale nie dając mi dokończyć, prędko zerwał się z krzesła i zwrócił się ku drzwiom, mówiąc:

— Dość na dziś tej epicznej poezyi, daremnie czas tu tracę. Możesz sobie myśléć co ci się podoba, ale uprzedzam cię że domysły twoje nie opierają się na żadnych uzasadnionych danych. Takie już przeznaczenie twoje że nigdy nie będziesz mogła poznać dokładnie niektórych okoliczności twego życia — zapewnie byłoby inaczej gdyby żyła matka twoja. Bywaj zdrowa, dziecię moje, bądź jak najszczęśliwszą i jak możesz najlepszą—do widzenia!

To powiedziawszy, skinął mi głową z uśmiechem i wyszedł.

Czas jakiś pozostałam, jeszcze przy stole, przy niedokończonem śniadaniu, rozważając naszą rozmowę i pytając siebie com się z niej dowiedziała. Przerywając rozmowę, kuzyn mój probował zaprotestować przeciw memu co do niego domysłowi, ale twarz jego powiedziała mi więcej niżby powiedziały słowa, i teraz byłam już przekonaną o prawdziwości moich przypuszczeń. Tak, on to był owym nieznanym dobroczyńcą naszym w Saltpool—jakim sposobem i w jakich rozmiarach—tego wiedzieć nie mogłam. Sama już odpowiedź jego była jakby milczącą prośbą aby nie wznawiać tej rozmowy; jednak odtąd nabyłam niezłomnego przekonania że matka moja i ja zawdzięczałyśmy wszystko temu szlachetnemu krewnemu. — i rzecz dziwna, pomimo całej dumy mojej, czułam się szczęśliwą że tak wielki dług wdzięczności zaciągnęłam względem mego dobrego opiekuna. Od pierwszej chwili widzenia polubiłam szczerze kuzyna Ulryka, ale teraz to uczucie moje zamieniło się w cześć głęboką; czciłam go jak dobroczynne, opiekuńcze bóstwo, a to tem więcej że nie mogłam pojąć pobudek szlachetnego jego postępowania. O! jakże gorąco pragnęłam być jego córką, siostrą, siostrzenicą, słowem kimkolwiek coby miał niezaprzeczone prawo do jego opieki; pragnęłam nadewszystko być kimś coby miał obowiązek pozostać na zawsze przy nim i doglądać go w starości, aby go najtroskliwszą, najczulszą otoczyć opieką. I układałam sobie w myśli podobny plan postępowania, tylko nie byłam pewna czy mi go spełnić dozwolą.

Zazdrościłam niewymownie kuzynce Maryannie; że lepiej odemnie znała kuzyna Ulryka i była dopuszczoną do jego zaufania, czem ja pochlubić się nie mogłam. Przypominam sobie jeszcze boleśne uczucie osamotnienia, jakiego doznawałam gdy opiekun mój, zapewnie naglony licznemi zajęciami, uchylał drzwi pokoju w którym siedziałyśmy i nie zwracając na mnie uwagi, mówił:

— Maryanno, chciałbym parę słów pomówić z tobą.

Gdyby kuzyn Ulryk widział był łzy płynące z oczu moich, gdy tylko z siostrą się oddalił; zapewnie miałby był litość nademną i niezawodnie nie szydziłby z mojej zazdrości.

Uczucie mające zapełnić całe życie i ogarnąć całą duszę moją, z każdym dniem stawało się głębsze i poważniejsze, a wraz z niem wzmagała się i potężniała żądza przyczyniania się o ile mogło być w mej mocy do jego szczęścia i uprzyjemnienia życia temu którem zawdzięczałam tak wiele. Zarówno najcięższe jak i najpokorniejsze obowiązki zarówno były mi pożądane, aby tylko dawały mi sposobność okazania mu mej niewygasłej wdzięczności.

Łatwo więc pojąć z jaką przykrością dowiedziałam się że kuzynka Maryanna przyjęła zaproszenie rodziny Bertram abym czas jakiś zabawiła u nich, a kuzyn Ulryk zgodził się na to. Ten pobyt w obcym domu uniemożebniał urzeczywistnienie zamiarów powstałych w mojem sercu i umyśle, aby czas mój cały poświęcić ukochanemu opiekunowi, pozbawiał mnie sposobności oddawania mu choć małych przysług.

Już od dość dawna Józia i Helenka Bertram skończyły nauki i opuściły pensyę miss Little: teraz pragnęły gorąco aby dawna ich koleżanka choć kilka dni spędziła z niemi w Oxley. Powinnam była być im wdzięczną za pamięć—inaczej się stało. Pobyt w Oxley podobał mi się dopókąd byłam swawolną dziewczyną dla której największą stanowiło przyjemność skakać przez płoty lub obrywać owoce, ale dla dojrzalszego umysłu, żądnego innych rozkoszy jak zjadanie jabłek, śliwek, ciastek lub konfitur, wydawał się bardzo czczym i nudnym. Koleżanki

moje dawne były to sobie dobre dziewczęta, ale bardzo prostoduszne, a ja ze szczytu zarozumiałości mojej uważałam je po prostu za ograniczone. Posiadałam już wtedy dostateczne ukształcenie do wydania dość trafnego sądu o ludziach i o rzeczach, ale brakło mi umiarkowania które doświadczenie dopiero dać może, nakazując nam długo się domyślać, przed wydaniem stanowczego wyroku. Śmiało więc wygłosiłam moje zdanie że zaproszenie to uważam za ciężką pańszczyznę — co naturalnie dostatecznem było aby kuzynka Maryanna oświadczyła że pobyt w Oxley pod każdym względem nader korzystnym będzie dla mnie.

Tak więc miałam stracić marnie trzy tygodnie z czasu wakacyj, pocieszałam się tylko myślą że są to już ostatnie, gdyż kuzyn Ulryk powiedział mi iż po ukończeniu roku szkolnego już stanowczo powrócę do domu, gdyż pragnie abym dla ukończenia edukacyi; pobierała jeszcze lekcye prywatne od najlepszych miejscowych profesorów. Z jakąż radością (dla wielu powodów) dowiedziałam się o tem postanowieniu mego opiekuna.

Jak to przewidywałam, bardzo nudziłam się w Oxley, a co więcej powodu tych nudów przed sobą samą wyznać prawie nie śmiałam. Państwo Bertram zajmowali obszerny dom na końcu wsi, zaś syn ich starszy (ów pastor, przyjaciel kuzyna Ulryka) mieszkał w plebanii położonej w środku gminy, mimo to, codziennie niemal przychodził na obiad do rodziców. Znałam go w Rockborough będąc dzieckiem, i wtedy byłam z nim dość poufałą, ale teraz, zostawszy już słuszną panną, uznałam że winien był zmienić swoje ze mną postępowanie. Nie podobało mi się iż korzystając poniekąd z prawa jakie nadawała mu jego przyjaźń z kuzynem Ulrykiem, zdawał się szukać sposobności aby jak najczęściej sam na sam zostawać ze mną, i wtedy prawił mi grzeczności, unosił się nad zmianą jaka zaszła w mej osobie i nad rozwinięciem się moich zdolności umysłowych. Słuchałabym z największą przyjemnością gdyby słowa te wyszły z ust kuzyna Ulryka, który wcale nie był szczodrym w pochwałach, ale obrażały mnie wymówione przez pana Bertram, który oczy potwierdzały wygłaszane pochlebstwa:

Uważany on był powszechnie za człowieka miłego i dowcipnego, i z tego względu był bardzo poszukiwany i ceniony w towarzystwach; co do mnie, wydawał mi się nieznośnym i nie ukrywała bynajmniej mojej ku niemu niechęci, tem więcej że ośmielał mnie śmiech z jakim całe jego kółko rodzinne słuchało moich docinków i pyszny spokój z jakim on je przyjmował. W końcu doszło do tego że znienawidziłam nawet dźwięk, jego głosu, bystre spojrzenie jego pięknych czarnych oczu, dotknięcie jego ręki gdy chciał ująć moją. Gniewało mnie do najwyższego stopnia, ilekroć zostawiono nas samych w pokoju, i nie umiem wypowiedzieć z jaką radością powitałam ostatni dzień mego pobytu w Oxley, chociaż wiedziałam że niedługo po powrocie do Rockborough będę musiała pożegnać mego opiekuna.

Tym razem powróciłam do Antwerpii pod opieką miss Little, która zazwyczaj przepędzała u krewnych w Anglii, wakacye i Święta Bożego Narodzenia Podczas tej podróży smutek mój i znękanie tak były widoczne, iż poczciwa miss pocieszała mnie jak mogła, powtarzając często że to już ostatni raz powracam na pensyę.

Lecz nie powrót na pensyę tak mnie zasmucał i dręczył, gdyż wyjąwszy z ostatnich sześciu miesięcy, czas schodził mi tam mile, — ale tylko ze wzrastającym co chwila wstrętem myślałam że znów będę zmuszona widywać pana Dawid'a. Opisując krótki ten pobyt mój w Anglii, nie mówiłam o ciężkiem udręczeniu i niepokoju sumienia, jakich nabawiała mnie straszna narzucana mi tajemnica, zatruwająca mi upragniony pobyt w domu mego opiekuna a to głównie z tego powodu że w porównaniu ze znoszonemi później męczarniami, zdaje mi się nie warte wspomnienia.

Ubolewałam nad smutnem położeniem mojem i uczuwałam pewną gorycz w duszy za każdym odebranym nowym dowodem troskliwości i szlachetności mego opiekuna, gdyż mimowolnie wtedy porównywałam ojca mego z kuzynem, a porównanie to nader niekorzystnie wypadało dla pierwszego, gdyż gdy kuzyn żadnych względem mnie nie mający obowiązków obsypywał mnie dobrodziejstwami i psuł niemal swoją dobrocią ojciec nie chciał mnie uznać za dziecko swoje i odmawiał mi nawet opieki swego nazwiska. Jeźli więc opuściłam Antwerpię z bardzo słabo rozwiniętem uczuciem córki, wracałam z coraz silniej wzmagającą się niechęcią ku ojcu; gdyż owa rozmowa z kuzynem Ulrykiem, ukazała mi jego charakter w nader poniżającem świetle. Tak więc powitanie nasze nie było bynajmniej tak serdecznie jakby należało.

Pan Dawid udawał wielkie zadowolnienie z mego powrotu, ja odpowiadałam na nie chłodno i obojętnie, i zamiast słuchać z zajęciem szumnych jego frazesów, przyjmowałam je z szyderskim uśmiechem. Pragnął koniecznie dowiedzieć się wszystkiego co zaszło podczas naszego rozłączenia, a nawet o czem rozmawiałam z krewnemi, ale udałam że nie wiem z jakiego tytułu pozwala sobie zadawać mi podobne pytania, i co go może obchodzić co się działo w Rockborough.

Zauważywszy tę moją zmianę i widząc że łagodna i serdeczna uczennica pozwala sobie teraz odpowiadać mu śmiało i stanowczo, pan Dawid zmienił także swoje postępowanie i próbował mnie zastraszyć. Choć z przykrością muszę jednak to napisać, gdyż inaczej ściągnęłabym na siebie surową naganę. Probował zastraszyć mnie nie groźbą swego niezadowolnienia, gdyż wiedział że nie bardzo się tego lękam, ale dotykając słabej mej strony, to jest strony serca, zwracając swą napaść przeciw głębokiemu przywiązaniu jakie miałam do kuzyna Ulryka.

Zdaje się wspominałam już o tem że w początkach znajomości z moim profesorem malarstwa, mówiłam z nim otwarcie o moim opiekunie i jego nieograniczonej dla mnie dobroci, nie przypuszczając że niebawem postara się skorzystać z mojej nieprzezorności. Tak się jednak stało.

Widząc że zupełnie nie jestem usposobioną do rozmawiania z nim; że staram się unikać go o ile mogę, a nawet po części nie okazuję dawnego zamiłowania do malarstwa; pan Dawid skorzystał z pierwszej sposobności aby mi oznajmić iż jeźli dobrowolnie nie zmienię mego postępowania, potrafi mnie do tego zmusić. Wiedząc dobrze iż nie zawiniłam w niczem jako uczennica, oburzyłam się na tę pogróżkę i odpowiedziałam wyzywająco: że nie może więcej uczynić mi złego jak to już co zrobił.

— Nawet gdybym powołując się na prawa moje, odebrał cię od twego kuzyna? szepnął mi do ucha z szatańskiem jakiemś syknięciem.

Usłyszawszy tę groźbę zadrżałam z przerażenia, ale w tejże chwili odzyskałam odwagę, przypomniawszy sobie położenie tego człowieka.

— Nie mógłbyś pan... nie odważyłbyś się tego uczynić zawołałam.

Widziałam że zmięszał się mocno usłyszawszy tę śmiałą i stanowczą odpowiedź, ale prędko przyszedł do siebie.

— Nie brak mi sposobów doprowadzenia do skutku tego rozłączenia cię z kuzynem, panno Doro. Jeźli opiekun twój jest uczciwym człowiekiem, może równie jak ty znać moją tajemnicę, bez żadnego stąd dla mnie niebezpieczeństwa, a dowiodłszy mu mojej tożsamości, będę mógł zabrać cię do jakiegoś oddalonego kraju, gdzie nie będę potrzebował obawiać się ani moich francuzkich nieprzyjaciół, ani twoich angielskich przyjaciół.

Pogróżka ta przejęła mnie niewypowiedzianym przestrachem, a jednak później przekonałam się iż ojciec mój byłby w wielkim kłopocie gdyby mu przyszło ją wykonać, bo bynajmniej nie życzył sobie wziąć mnie do siebie. Cóżby mu z tego przyszło!

Czy zrobiłby to rzeczywiście i czy ma prawo to zrobić? pomyślałam.

Byłam zanadto młoda i niedoświadczona aby módz odpowiedzieć sobie na te pytania — na to trzebaby zbadać myśli tego człowieka oraz znać prawa i zwyczaje społeczne. Samo już przypuszczenie możliwości podobnego nieszczęścia, przejmowało mnie trwogą i przerażeniem. Porównywałam mój upragniony, szczęśliwy pobyt w Rockborough (gdyż pomimo niezgody z kuzynką Maryanną, dom mego kuzyna wydawał mi się istnem Eldorado), porównywałam więc pobyt w nim z włóczęgowskiem życiem mego ojca, jakoteż moich przyjaciół i znajomości angielskie z międzynarodowemi cyganami dziennikarskiemi, towarzyszami pana Dawid'a, a nadewszystko niezmordowaną troskliwość mego opiekuna, z niedbałością i samolubstwem mego ojca, charakteryzującemi całe jego postępowanie ze mną —i wywnioskowałam że raczej umrzeć niż zmienić opiekuna.

Niezwykła bladość mej twarzy i przerażenie widniejące w oczach zdradziły moją obawę, i pan Dawid nie potrzebował być zbyt przenikliwym aby poznać co się we mnie działo.

— No, cóż, panno Doro, czy gotowa jesteś jechać ze mną? zapytał z szyderską uprzejmością.

— O! nie zrobisz pan tego! wyjąkałam; nie możesz być tak okrutnym.

Widział że nie chybił celu.

— Nie zrobię tego, jeźli będziesz rozsądną. Trzeba nam zawrzeć z sobą umowę, mocą której zobowiążemy się wzajemnie być względnymi dla siebie. Czy zgoda?

— Wszystko, wszystko uczynię, tylko nie zabieraj mnie z Rockborough.

— A więc śmiej się, żartuj, rozmawiaj wesoło, słowem bądź tak uprzejmą jak dawniej. Nadto ilekroć zechcę nastręczysz mi sposobność rozmówienia się z sobą na osobności i będziesz postępować zgodnie z danemi przezemnie poleceniami.

— Dobrze, zastosuję się do tego o ile będę mogła, ale za to nie odbierzesz mnie pan mojemu opiekunowi.

— Będzie to zależeć od twego ze mną postępowania; bądź uległą, *kochanko*, a będę dobrym dla ciebie.

Niepewna ta odpowiedź, stanowiąca rzeczywiście wyraźną groźbę, tłomaczy i usprawiedliwia późniejsze moje postępowanie: od owej rozmowy musiałam być posłuszną, a pan Dawid dręczył mnie dowolnie. Zresztą tyranizowanie jego kryło się pod płaszczy

kiem łagodnych przełożeń, i trzeba było jak ją znać przeszłość jego, aby pod tak łudzącemi pozorami dojrzéć najnikczemniejszy egoizm, będący sprężyną jego ze mną postępowania.

Zgodnie z jego żądaniem musiałam udzielić mu żądanych wskazówek co do domowości i nawyknień kuzyna Ulryka; opisać mu życie nasze w Rockborough, zbytek jakim otaczał mnie mój opiekun, a nadto wyliczyć szczegółowo ile dostawałam stale na moje drobne wydatki i wiele prócz tego pieniędzy w podarunku.

Ze drżeniem i trwogą mówiłam o hojności mego opiekuna, i zbytku jakim mnie otaczał, tak obawiałam się aby mój prześladowca nie zrobił z nich broni zwróconej przeciw mnie, i nie groził znów pozbawieniem mnie tego wszystkiego i rozłączeniem z moim kuzynem. Przyrzekłam mówić, więc odpowiadałam, a wrodzona prawość nie dozwalała mi oszukiwać go, choćby pod względem moich zasobów pieniężnych.

Wkrótce spostrzegłam z wielkiem zadowolnieniem że najgłówniejszem następstwem moich objaśnień, było stopniowe znikanie moich kieszonkowych pieniędzy. Z początku nie bardzo mnie to obchodziło, gdyż miałam tak wiele pieniędzy że nie wiedziałam co z niemi robić; ale nareszcie wszystkie przeszły do mego ojca. Pomimo to ojciec wymagał ich coraz więcej, a gdy mniemając że pozbędę się jego natręctwa, oznajmiłam że nie mam już ani szeląga, jak też było rzeczywiście, rzekł groźnie że powinnam napisać do opiekuna aby mi przysłał pieniędzy.

— Jakto! miałabym żądać jeszcze pieniędzy od opiekuna, skoro dał mi ich tak wiele gdym wracała na pensyę!... zawołałam przerażona.

— I czemużby nie? odpowiedział. Powiedziałaś mi że nigdy niczego ci nie odmawia, napisz więc aby ci większy wyznaczył dochód.

— Ale czemże usprawiedliwię to żądanie.

— To już do ciebie należy. Zresztą wiedz o tem że młode pensyonarki często bardzo wydają więcej niż mają—a wnosząc z tego coś mi mówiła o twoim opiekunie, zapewnie nie będzie cię nudził dopytywaniem się.

— Posądzi mnie o chciwość i niedelikatność, wyszeptałam.

— Jeźli ci się zdaje że za wiele zrobiłabyś dla mnie, więc nie mówmy o tem, ale pamiętaj że tym sposobem nie dotrzymasz wiernie powziętych zobowiązań, a wiesz na co się narażasz nie dotrzymując słowa.

Groźba poskutkowała; przerażona gardząc sama sobą, usiadłam do napisania strasznego tego listu. Jakże długo układałam treść jego! ileż gorzkich łez wylałam wyszukując pozoru, czyli raczej kłamstwa mającego usprawiedliwić moje żądanie. Jakże czułam się nieszczęśliwą wysełając ten list opłakany, jak liczyłam godziny w ciągu których szedł do Rockborough! Sam tylko Bóg znał okropny niepokój i męki jakie przecierpiałam z powodu tego listu i gorzkie owoce jakie wydała w przyszłości miotająca mną obawa rozłączenia na zawsze z moim opiekunem.

Zaraz odwrotną pocztą odebrałam odpowiedź, a pośpiech ten, szlachetna hojność i dobroć mego opiekuna, powinny były ucieszyć mnie niewymownie ale wyczytawszy iż kuzyn Ulryk napisał abym zawsze śmiało kołatała do jego kassy, boleśnie czułam się upokorzoną że tak nadużywam jego wspaniałomyślności. Nie miałam odwagi spojrzéć na zawarty w liście duży bilet bankowy, i przy pierwszej sposobności wsunęłam go w rękę mego ojca, zaklinając aby nie narażał mnie więcej na nic podobnego.

Ale próżna nadzieja! Byłam jakby muchą pochwyconą w sieć pajęczą, i jedynym środkiem ratunku było wyjawienie węzłów łączących mnie z profesorem rysunków—ale była to ostateczność do jakiej przysięgłam sobie nie uciekać się nigdy—gdyż tymsposobem mogłabym narazić bezpieczeństwo mego ojca i uchybić poczuciu sumienności i honoru.

Wszystkie klejnoty jakie miałam od kuzyna Ulryka przeszły powoli do pana Dawid'a, nakoniec musiałam nawet oddać mu ulubiony mój zegarek, a ów list oblany łzami jaki pisałam wówczas prosząc o pieniądze nie był ostatnim. Wstydziłam się sama mej niedelikatności i niewdzięczności, zaczynałam nawet obawiać się chwili powrotu do domu, gdzie przyjdzie mi zapewnie odpowiadać na zapytania jakie miano prawo mi zadać, a mianowicie na com użyła tak znacznych summ pieniężnych.

Mimo to ulegałam ciągle niecnej tyranii mego ojca i straciłam nawet nadzieję że powrót do domu mego kuzyna i bezpośrednia jego opieka uwolni mnie od niej.

Ciągły niepokój oddziałał zgubnie na moje zdrowie, bardzo schudłam i pobladłam, czułam się mocno osłabioną. Byłam właśnie w wieku w którym potrzebujemy całych sił naszych aby walczyć skutecznie ze zbyt szybkiem rośnięciem, i trzebaż że właśnie w tak krytycznej życia epoce wystawiona zostałam na męki i wysiłki umysłu i ukrywane cierpienia, które pozbawiły mnie spokojnego snu i apetytu. Zmieniłam się tak widocznie że uderzyło to miss Little; zauważyła że od pewnego czasu mniej gorliwie przykładałam się do nauk, ale nie mogła wiedziéć powodu! napisała więc do mego opiekuna aby mnie odebrał przed nadejściem wielkich upałów.

Dopiero gdy nadeszła odpowiedź, dowiedziałam się o tym jej liście; kuzyn Ulryk żądał aby mnie odesłano z odpowiednią opiekunką. Po upływie kilku godzin byłam już na statku odpływającym do Anglii, w towarzystwie szanownej fraülein Graub, a wyjazd mój był tak nagły i nadspodziewany, iż miałam szczęście nie módz zobaczyć się z nauczycielem malarstwa. Z jakąż radością, rok temu, byłabym powitała ten przyspieszony powrót: gdyż miesiąc jeszcze pozostawał do końca roku — teraz brakło mi sił nawet na ucieszenie się tem czego zawsze pragnęłam tak gorąco. Tak byłam znękana i rozstrojona, iż nie zasmucało mnie nawet rozłączenie z Felicytą która płakała serdecznie nad moim odjazdem. To jedynie niejaką dawało mi pociechę że oddalam się od pana Dawid'a, i że może da Bóg nie zobaczę go więcej — ale jednocześnie nadzieję tę wyrzucałam sobie jak zbrodnię.

Koniec tomu I-go.

Opis do N-ru 44.

(Dokończenie).

N. 13. Podszewka ciepła robiona na drutach, do wkładania w buciki.

Podszewkę z białej włóczki wigoniowej, zaczyna się od brzegu tylnego i robi gładko tam i napowrót, przybierając lub gubiąc z brzegów podług formy wyciętej z papieru. Na pantofelek zwierzchni dodaje się potrzebną ilość nowych oczek, robi w około i gubi jak pończochę.

N. 14 — 19. Próbka nowego rodzaju ściegu robionego na kanwie, na torebki poduszki lub pantofle.

Ścieg ten odrabiać można na grubej kanwie, włóczkami kolorowemi, lecz piękniejszy jest robiony na kanwie cienkiej lub kongresowej kordonkowemi jedwabiami. Na ryc. 14 dajemy próbkę roboty, na kanwie średniej grubości, włóczką angielską w kolorze ciemno ponsowym, niebieskim i orzechowym, zaś na ryc. 15 — 19 wskazujemy następstwo i kierunek ściegów, odrobionych dla zrozumienia roboty na kanwie znacznie powiększonej. Każda wykończona nitka zajmuje 4 nitki robionych ściegów, przedzielonych w środku poprzecznemi ściegami, każden dwie nitki zajmującemi.

N. 20 i ryc. 21 w N-rze 45. Suknia z przypinanym trenem, suto garnirowana koronkami. Patrz tren na ryc. 45. Krój draperyi i trenu Nr VIII, Fig. 38—39.

Rycina 20 i ryc. 21 w N-rze 45, przedstawia z przodu i z tyłu dwie suknie z przypinanym trenem, odrobione podług jednego fasonu, lecz z odmiennego materyału i z odmiennym garnirunkiem.

Rycina 20 przedstawia suknię z odpiętym trenem, z grenadyny w jasnym kolorze, bogato przyozdobioną szeroką koronką, plisowanemi falbankami i kokardami z atłasowej wstążki. Model do ryc. 21, odrobiony był z lekkiej materyi w drobne prążki. Stanik zakończony z tyłu długą frakową baskiną, z przodu jest na gładkiej podszewce jak bluzka przemarszczony i zapięty paskiem $3\frac{1}{2}$ cent. szerokim, wszytym między szew boczny. Spódnica u dołu oszyta plisowaniem 5 cent. szerokiem odmiennego koloru, garnirowana jest skośnemi wolantami 13 cent. szerokiemi, zakończonemi obrąbkiem 1 centym. szerokim i zaszyta krytym szwem z prawej strony. Model i miary draperyi a panier z przodu jedna na drugą zachodzącej, podany jest na Fig. 38. Litera *a b* i *c* oznacza dwa proste bryty tylne, podpinane w bufy, sposobem wskazanym na ryc. 21, które u dołu przyszywają się na spódnicy szwem odwracanym, a dwie bufki dolne zakrywają guziki służące do przypięcia trenu. Tren podany oddzielnie na ryc. 45, kraje się podług Fig. 39. Litery *a* i *b* oznaczają części spodnie, c draperyą złożoną z dwóch jednakowych części, w środku na 44 cent. długości zeszytych, w górze sfałdowanych i w sposób wskazany podpiętych. Kokardy ze wstążki kolorowej aksamitnej, podszytej atłasem.

N. 21. Suknia z gorsecikowym stanikiem.

Suknię taką kraje się podług formy princesse albo podług długiego kirasowego stanika, którego brzeg zakrywa draperya tunikowa. Do sukni kaszmirowej górna część w bufki przemarszczanego stanika i także rękawy, robi się z atłasu lub surah. Do sukni z jasnej materyi albo z grenadyny, stanik i rękawy mogą być tiulowe albo muślinowe. Boczne przemarszczenia tuniki zdobią kokardy ze wstążki.

N. 23. Haft z podkładaniem atłasu lub aksamitu, na poduszkę do kanapy albo na krzesło. Czwarta część deseniu na arkuszu z formami Nr II. Ozdobna środkowa litera na ryc. 12 w N-rze 43.

Tło modelu było z sukna ciemno zielonego a deseń wycinany z aksamitu czarnego, podklejonego szyrtyngiem i przyklejonego do tła rozciągniętego w krośnach. Kontury obwiedzione były kręconym, zielonym jedwabnym sznureczkiem, przeszywanym cienkim jedwabiem. Po brzegach sznureczka można jeszcze dodać kordonek złoty. Supełki, żyłki i kratkę na aksamicie robić grubym jedwabiem kordonkowym w dwóch cieniach zielonych, którym także wyszywa się gwiazdki na tle sukiennem. Literę środkową wycina się z aksamitu, kontury obwodzi sznureczkiem złotym, po brzegach którego daje się sześcionitkową filozelę zieloną przeszywaną jedwabiem lub nitką złotą. Grubsze gałązki w arabeskach odznacza się filozelą sześcionitkową, a haft sznureczkowy, supełkowy i ścieżki stębnówki robić dwoma nitkami filozeli. Widzieliśmy haft taki robiony filozelą i kordonkiem w różnych żywych kolorach, lecz haft jednokolorowy do cieniu wydaje nam się mniej jaskrawy i w lepszym guście.

N. 24—28. Kołnierze dwa duże wykładane i mankiety płócienne. Krój do ryc. 27—28, Nr VII, Fig. 36 i 37.

Duże wykładane kołnierze płócienne, oszyte siatką gipiurową lub koronkami, co raz więcej się upowszechniają i podobają. Mankiety do nich są także na rękaw wykładane. Kołnierz ryc. 24 ma kolistą formę pelerynkową; mankiet odpowiedni dajemy na ryc. 25, a deseń siatki gipiurowej do oszycia, na ryc. 26. Na wstawce wyszywa się tylko gwiazdki brzeżne. Kołnierz i mankiet ryc. 27 i 28, przykrawa się z potrójnego płótna, a do oszycia służy mocna koronka irlandzka, reticella, albo cienka koronka niciana. Wykrój kołnierza oszywa się skośną 2 cent. szeroką listewką.



N. 1. Ubranie ślubne dla wdowy niezbyt młodej.

N. 2. Ubranie ślubne dla młodziutkiej osoby.

N. 3. Sukieneczka z vetemet dla dziewczynki lat 6—8. Patrz ryc. 9 w N. 45. Krój na ark. N II, Fig. 9-14.

N. 29. Obrus kościelny.

Haft kolorowy i krzyżykowy na płótnie i koronka reticella, której próbki podaliśmy w ubiegłym kwartale. Ten sam deseń bez monogramu kościelnego, służyć może na ręczniki, serwety i t. p.

N. 32. Stół prostokątny i 6 krzeseł do postawienia na środku salonu, na perskim dywanie. Deseń na arkuszu z krojami Nr 2—3. Deseń szlaku robionego na aksamicie ryc. 3 w N-rze 45.

Stół i krzesła wyrobione być powinny bardzo ozdobnie z drzewa orzechowego albo dębowego. Na wyścielanych poręczach krzeseł, haft daje się z obydwóch stron, bo obydwie są zarówno widoczne. Na siedzeniach nie ma wcale haftu. Na pokrycie używa się atłasu meblowego, kiprowanego materyału lub innych jedwabnych materyi, w kolorze blado niebieskim, blado zielonym lub innym nie jaskrawym. Pod Nr 3 na arkuszu dodatkowym dajemy stosowny deseń do haftu na krzesłach; z jednego brzegu zakończony jedwabną ręczną koronečką, którą może zastąpić wązka torsadka szmuklerska. Haft odrabia się sznureczkiem i bajorkiem złotym, złotemi blaszkami i perłą albo filozelą w kolorach zielonych, żółtych, łososiowym, ciemno ponsowym i fijałkowym do cieniu. W miejsce podanego deseniu można haftować małe bukieciki, w około otoczone szlakiem jak na ryc. 32.

Pod N-rem 4 na dodatku dajemy deseń na środek serwety, którego kontury wszędzie obwiedzione są sznureczkiem złotym, a do haftu użyte były nitki złote i srebrne, pela oranżowa złotego koloru, habrowa, zielona, perłowa, bordo, trzy cienie ponsowe, oraz karmazynowa i żółta w moteczkach cieniowana. Deseń na szerokość odwraca się w środku serwety w drugą stronę, a na długość powtarza. Tło jest z takiej materyi jak pokrycie krzeseł. Szlak 23 cent. szeroki robi się na wytłaczanym w deseń aksamicie bronzowym, cienkim sznureczkiem złotym przyszywanym nieznacznie jedwabiem. Próbkę roboty i deseniu dajemy na ryc. 3 w N-45. Przyszycie aksamitu przykrywa 4 centym. szeroka bórta repsowa, złotem i szenelą przerabiana. U dołu przyszyta bogata frendzla 15 c. szeroka, z nagłówkiem z takiej samej bórty.

N. 33. Kokarda krawatowa z chusteczki jedwabnej paljowej, ze szlakiem szkockim, trzymającej 44 centym. w kwadrat.

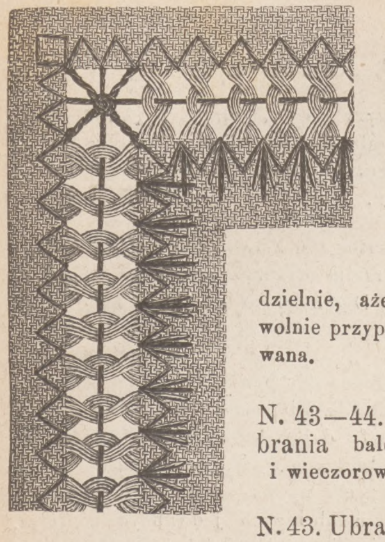
N. 35. Kokarda krawatowa z białej jedwabnej chusteczki, trzymającej 40 cent. w kwadrat, ozdobionej haftem krzyżowym i jedwabiem niebieskim w dwóch cieniach.

N. 36. Kapelusz duży, okrągły pluszowy. Patrz rycina 11 w N-rze 45.

Blado żółtawy pluszowy kapelusz, miał rondo podszyte pluszem popielatawo bronzowym jasnym. Ubranie stanowiły pióra tego co podszycie koloru i aksamit złotawo bronzowy, przepinany złotemi szpilkami.

N. 37. Paletocik luźno wcinany. Krój i widok pleców Nr I, Fig. 1 — 8.

Obok długich i krótkich okryć dolmanowych, ciągle modne są paletoty okładane futrem lub piórami. Rycina 37 przedstawia ciemny paletocik z zimowego dubeltowego dubeltowego materyału, przy którym kołnierz szalowy, szerokie mankiety i kieszenie, pokryte są obłożeniem z piór popielatych. Przody i boczki paletota trzeba podług podanej miary przedłużyć i rozszerzyć u dołu. Do pleców dodaje się baskinę, której model i miary są na Fig. 5; baskinę składa się w górze w płaskie fałdy i stę-



N. 4. Brzeżek z kratki ażurowej do przyozdobienia serwetki i t. p.

bnuje do plecków od spodu. Szwy boczne przykrywa podwójnie złożona fałda, na którą od C do dwukropka dodany jest materyał przy b o c z k a c h. Część szmizetkowa Fig. 2. robi się oddzielnie, ażeby mogła być dowolnie przypinana lub odejmowana.

N. 43—44. Ubrania balowe i wieczorowe.

N. 43. Ubranie z wyciętym trykotowym stanikiem.

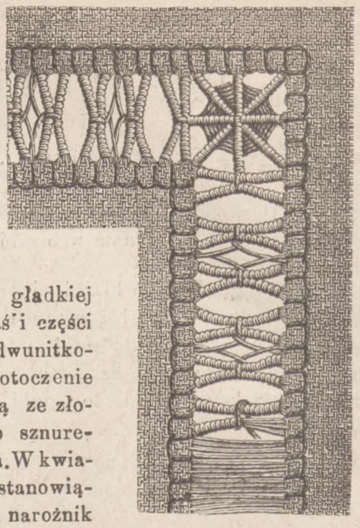
Do spódnicy z blado żółtego atłasu, której draperya przepinana jest paljowemi różami z ciemnemi liśćmi, dodany jest stanik zwany „Surcot Véronese" z jedwabnej trykoty, tego co atłas koloru. Krótkie rękawki i szmizetka są z jedwabnego blado żółtego tiulu, a wykrój szyi i brzeg rękawów oszyty koronką.

N. 44. Ubranie z krótko podpiętem vetement.

Spódnica z jedwabnej gazy cała przemarszczona jest w bufy, a u dołu oszyta szerokim plisowanym wolantem. Vetement krótko podpięte z jedwabnego repsu, oszyte plisami z materyi szkockiej i koronką. Pięknie wyrobione metalowe agrafy, służą do zapięcia przodów. Rękawy i szmizetka z bufowanego jedwabnego tiulu ogarnirowane koronką, z której zrobiony także kołnierz Medicis.



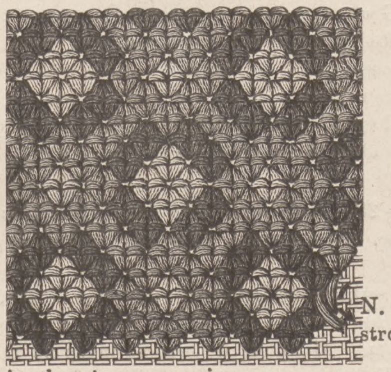
N. 6. Gwiazdka szydełkowa z wyszyciem.



N. 5. Szlaczek z kratki ażurowej, do serwetek i t. p.



N. 10. Sukienka z haftowanym plastronem r. 11.



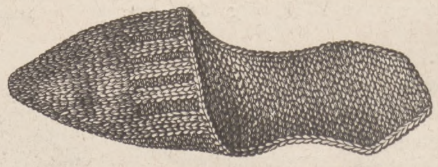
N. 14. Ścieg krzyżowy przewiązywany na woreczki.



N. 11. Sukieneczka z plastronem. Plecy do r. 10.



N. 12. Pończoszka dla dziecka.



N. 13. Podeszwa robiona na drutach.



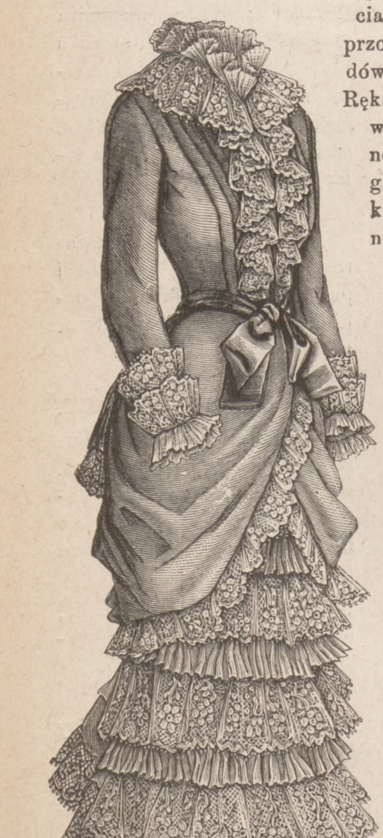
N. 7. Szlaczek szydełkowy z wyszyciem, do ryciny 9.



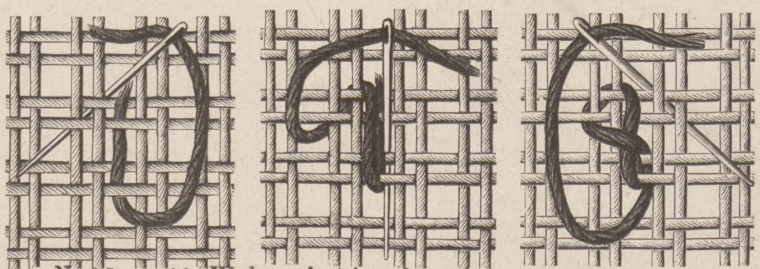
N. 9. Kosz do papierów, ozdobiony robotą szydełkową r. 6–8.



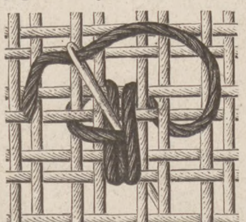
N. 8. Szlaczek szydełkowy z wyszyciem, do ryciny 9.



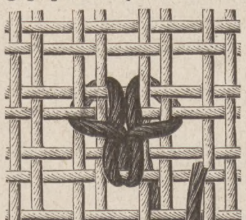
N. 20. Suknia bogato przybrana koronkami. Patrz rycina 21 w N-rze 45.



N. 15 — 19. Wykonanie ściegu krzyżowego przewiązywanego.
N. 15. Ścieg pierwszy. N. 16. Ścieg poprzeczny. N. 17. Drugi ścieg.



N. 18. Drugi ścieg wraz z przygotowaniem do następnego ściegu.



N. 19. Ścieg krzyżowy przewiązany z przeciągnięciem nitki do następnego ściegu.



N. 21. Suknia z gorsecikowym stanikiem.

Opis do N·44.

N. 1 i 32. Patarafka z hiszpańskim koronkowym haftem.

Rycina 1 i 32 zapoznaje czytelniczki z nowym rodzajem bardzo efektownego haftu, w którym delikatne, nie rażące kolory i bogate domieszanie złota, tudzież ścieg podobny do krak w koronce, przypominając hafty hiszpańskie a raczej maurytańskie. Ażeby jasny haft odznaczająco się odbijał, tło powinno być ciemne pluszowe, aksamitne lub sukienne. Rycina 32 podaje w naturalnej wielkości czwartą część pięknego szlaku do patarafki. Figury deseniu wycięte są z cienkiego żółtawego płótna podklejonego bibułką i naklejonego klejem na rozciągniętem w krosienkach tle pluszowem, ciemno oliwkowego koloru. Arabeskowe części deseniu zdobne są ściegami gładkiej nitki złotej, kwiatki zaś i części formą listków wyszyte dwunitkową filozelą a żyłki i otoczenie mają ze złotego sznureczka. W kwiatku stanowiącym narożnik wyszytym kolorem bladoniebieskim do cieniu, dodany środek z ponsowego aksamitu, ze złotemi supełkami. Dziergana gwiazdka narożna jest ponsowa do cieniu; kwiaty zajmujące środek boków są malwowe cieniowane, ze środkami koloru bzu włoskiego, nad któremi wystający listek wyszyty w kratę nitką złotą. Pajączki z nitek złotych przytwierdzone muszkami blado niebieskiemi. Środek patarafki liczący w kwadrat 15 cent. z aksamitu stalowo szafirowego koloru ma w około ramkę z cienkiego jedwabnego sznureczka, koloru vieil-or, połączonego ściegami jedwabiu malwowego. Przy trzecim rzędzie sznureczka wyszyte maleńkie narożniki. Brzegi patarafki otacza frendzla z oliwkowych kwaścików z hamburgskiej włóczki zawieszonych na jedwabnych nitkach.

N. 2. Patarafka z haftem kolorowym. Deseń na arkuszu Nr 5.

Tło stanowi materya, atłas lub t. p.; deseń ułożyć trzeba podług załączonego pod N-em 3, dodając w szlaku narożniki, a u dołu gałązki zajmującej środek patarafki powtarzając 2 gwiazdy. Do haftu użyty bajorek złoty karbowany i gładki, nitka złota, filozela do cieniu zielona, żółta, koloru łososiowego, ciemno ponsowa i fijołkowa. Brzeżek w około patarafki dodany koronkowy, robiony ręcznie na szpilkach. Dokładny deseń objaśnia robotę; brzeżek koronkowy objaśnia Fig. 43.



N. 22. Deseń do haftu złotem na kołnierzu do stanika trykotowego rycina 46 lub 26 w N-rze 43.